



KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER

BAJECZNY ŚWIAT  
TATR

## ***BAJECZNY ŚWIAT TATR***

**KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER**

# **BAJECZNY ŚWIAT TATR**

*Wydawnictwo popularne*

*Pierwsze wydanie 1905 r.*



**WARSZAWA**  
**BIBLIOTEKA GROZOWA**

# BIBLIOTEKA GROSZOWA

WYDAWNICTWO TYGODNIOWE

REDAKTOR STANISŁAW MIKOŁAJ LUBA

WYDAWCA BIBLIOTEKA GROSZOWA

Warszawa, ul. Moniuszki 11. Konto P. K. O. 11.140.

## WARUNKI PRENUMERATY:

Łącznie z dodatkami dla młodzieży i magazynem nHP, z przesyłką pocztową:  
kwartalnie (za 13 ksiązek) Zł. 9 gr. 95.  
„ w opwach . . . . „ 13 „ 95.

Prenumeratę przyjmuje Administracja  
Biblioteki Groszowej i wszystkie urzędy pocztowe.

Ilustrowane katalogi gratis i franko.



Polska Drukarnia w Białymstoku, Sp. Akc., ul. Ś-go Rocha 3,

K-8/48/154

Góry są całe jakąś baśnią świata. W porównaniu do reszty ziemi wyglądają zupełnie nieprawdopodobnie. W jakiś jasny, słoneczny, pogodny ranek, kiedy skały wydają się z połotnej złocisto-błękitnej mgły utkane; w ponury, chmurny, wichrowy dzień, kiedy zdają się być kłębam potwornych fal przelewającego się światła; w cichą, majestatyczną noc, kiedy wyglądają jak zaczarowany gród o ścianach i wieżach z kagańcami z gwiazd, z jeziorami jak olbrzymie tafle metalu—zdaje się, że się to ziemia śni.

Nadmysłowego coś jest w górach i rzeczywiście inaczej tam „pierś oddycha”, inaczej się tam czuje i myśli. „Cóż to jest, góry—powiada gdzieś Goszczyński — ta dziwna potęga, przywiązana do was?... Tajemnica ta musi kryć się w owej waszej części, której zmysłami dotknąć nie możemy... w tem, co podnosi was nad poziom ogniami podziemnymi, wybuchami jakichś tchnień tajemniczych... Może coś być w was, co ma związek z i a l-zmysłową istotą człowieka, niezależny, różny od wpływów fizycznych, a zatem ściślejszy, bliższy

i silniejszy... Uczucie tam jest więcej roztopione, więcej rozlewające się, pełniej gorejące, silniej bijące ku górze, ku światom wyższym..."

Od niepamiętnych czasów góry oddziałują podniecająco na umysł ludzki, na jego zdolności i moce twórcze, pobudzają fantazję człowieka i, stawiając mu przed oczy nadzwyczajne, gdzie indziej niespotykane i nieskończenie różne obrazy, pobudzają do oddźwięku jego własną wewnętrzną wyobraźnię. Gdy się patrzy gdzieś z wierchu albo z przełęczy w deszczowy burzliwy dzień, gdy się dołnami przez wąwozy, między załomy skalne po polanach włóczę korowody mgieł—ileż tam widzi się widm, kształtów, postaci i scen! Za jakimiś marami, które zdają się wionąć śmiercią na pustkowiach, lecą orły o rozpostartych skrzydłach; na przerażających smokach kołysają się najwdzięczniejsze rusalki; pełzną gady, przerastające w kolosalne potwory, podobne do stada szalonych słoni, z których wyłania się majestatyczny las kwiatów o czarach i kielichach, zasłaniających niebo, o liściach, oplatających wierzchołki skalne, a las ten kwiatów rozleje się w jedno niezmierne morze mgły, głuche, oezdenne i nieruchome—skąd w chwili później poczynają się wydobywać ostre, posępne, wilgotne, ciemne turnie, po których od czasu do czasu prześlizgnie się blask skrytego słońca jak błysk cichego piorunu...

Ileż obrazów daje w nocy las, taki bór odwieczny, w którym szumi, grzmi i jęczy woda,

pędząca po progach i zrębach granitu, lub szeroka pusta dolina, gdy na niej leży nocny mrok, na hali i na jeziorze... Tak, naprawdę! oto tam, koło wody jeziora, która jednotonnie, nieustannie pluszcze, kroczy mni-h, owo widmo Tatr...

Ukazuje on się, kiedy na ziemie dolne ma spaść powódź. Widmo złe i straszne. Porywało niegdyś dziewczęta i unosiło gdzieś ze sobą w przepaście.

W samotności nocnej, gdzieś w dzikiej dolinie, pełnej rumu i głązów, nad martwymi jeziorkami, pod straszną grozą kamiennych ścian, błądzącemu po bezdrożach strzelcowi lada mgła, przesuwająca się wolno przed oczyma, przybierała kształt mnicha, o którym słyszał, o którym myślał i którego spodziewał się zobaczyć.

W Morskiem Oku miała być ryba ogromna, z baranią głową, porywająca owce czarne. Miała mieć wielki diament we łbie między oczami. Wiem, że nieboszczyk Wojtek Samek, którego znałem jeszcze dzieckiem, „strzelał do tej ryby”.

„Widział” także rybę taką niejaki chłop Wirzdzinnik, jak „jechała z pół stawu (Ryb’ego) z oźdzawionym pyske w biały dzień”; „widział” ją także stary Wala nieboszczyk. Coby to być mogło—trudno dociec, zwłaszcza, że miała porywać owce. Wielkie ryby w Morskiem Oku są, ale są to, jak jedni twierdzą, łososie, jak inni—jakieś olbrzymiej wielkości pstrągi. Są to ryby bardzo grube i z dużymi stosunkowo łbami—widzi się je osobliwie w zimie przy upuście pod cienkim lodem. Być może, że

jakiemuś wizjonerowi wydra, wynurzająca się z wody i płynąca z pyskiem nad powierzchnią, wydała się potworem. W każdym razie obecnie „kasi się ty ryby podziały”.\*)

Wilkołaki, strzygonie czyli upiory, dziwożony zaludniały Tatry i okolice. Strzygonie ssaly ludzką krew przez sen lub dusiły ludzi we śnie. Najstraszniejsze były Wilkołaki, które właściwie nie były duchami, ale ludźmi, których przekleństwo za jakąś zbrodnię zmuszało przeobrażać się od czasu do czasu we wilka i zło bliźnim wyrządzać, tem więcej i własną pogarszając dołą. Taki człowiek-wilkołak, gdy na niego przyjdzie czas przemiany, wychodzi na pień ściętego drzewa, skacze stamtąd, wywraca w powietrzu koziołka i staje się wilkołakiem. Gonił on ludzi, bydło, wszystko, co żyło, gryzł, szarpał i mordował. Wilkołak miał kształt ludzki z wilczą głową\*\*).

---

\*) Dr. Eljasz Radzikowski cytuje, iż Augustowi II ofiarowano kości z całego smoka z Tatr, które kazał zawiesić w Gruene Gewoelbe w Dreźnie, za Stanisława Augusta zaś podziwiano belki z okrętu, wylowione w Morskiem Oku. Miała tam być także ryba od potopu świata, z grzbietem, ze starości porośniętym mchami i pieśnią. Rybę czarną zwierzchu a sinobiałą od spodu, wielkości łososa widział autor, krążącą w przerebli Morskiego Oka, w zimie. Ma to być okaz, w zoologii nienotowany.

\*\*) Po naszej stronie Tatr mało dziś wiedzą o wilkołakach, na Liptowie jednak opowiadają historję o chłopie wilkołaku który chciał własne córki pozjadać. Udało mu się to z dwiema starszemi, ale trzecia, najmłodsza, uciekła mu z pod rąk



Zupełnie oryginalnym wytworem góralskiej wyobraźni są dziwożony. Nazwa ich prawdopodobnie pochodzi od dziwy, po słowacku *dziki*, i prawdopodobnie powinno się mówić *dziwa żona* czyli dzika kobieta, na słowacczyźnie bowiem *żena* znaczy kobieta i u starych polskich Górali często się słyszało *ziena* ze słowacka zamiast *kobieta*.

Opowiadają o nich:

Po usypach, po dziurach nad potokami, po żlebach na hali siedziały dziwożony. Chodziły nago, polobne były do kobiet, bardzo brzydkie, kosmate,

---

Wtedy rozpoczyna się poś.ig rozbestwionego upłora za dziewczyną, która rzuca za siebie wszystko, co jest na niej, wołając, — „Nie dogonisz mnie, nie dogonisz, zanim tego ręcznika (spódn. cę, koszulę i t. d.) nie roztargasz, nie rozstrzepiesz, nie utkasz i znowu nie uszyjesz!” — co on zawsze w pół godziny wypełnia. Zupełnie naga dobiega wreszcie łąki, na której stoi sto kóp siana. Kryje się w najmniejszej i powtarza się to, co jest prawie stałą cechą opowiadań chłopskich: wilkołak rozrzuca dziewięćdziesiąt dziewięć kóp, a potem mówi: — „No, kiedy jej w dziewięćdziesięciu dziewięciu nie było, to i w tej ostatniej nie będzie!” — i odchodzi.

Potem już opowiadanie odstępuje wilkołaka; zajmuje się losami dziewczyny, której do kopy siana nosi jeść młody królewski pies legawy; król ją znajduje, żeni się z nią i ma dwoje dzieci, ona zaś o jedno go tylko prosi, aby nie przyjmował na noc do zamku wędrownych żebraków. Raz się to zdarza, żebrak w nocy podrzyna dzieciom gardła, a nóż podkłada pod poduszkę królowej — swojej córce, jest to bowiem wilkołak-ojciec. Pomimo że królowej ręce po łokcie ucięto i na pastwę ją owemu żebrakowi dano, wszystko się dobrze kończy: dzieci ożywają, ręce odrastają i król napowrót żonę bierze do siebie.

o świecących jak kaganki oczach, o rozpuszczonych czarnych włosach i niezmernie długich pierśsiach, tak długich, że sobie je mogły przerzucać na ramię i klepały niemi bieliznę przy praniu zamiast kijanek. Nieraz zdaleka słychać było, jak dziwożony piorą nad potokiem. Na głowach nosiły czerwone czapeczki albo wianki, wite z jaskiernika.

Mówiły po ludzku, tańczyły, śpiewały, zbierały maliny, grzyby, jagody i to jadły; osobliwie lubiły ziele zwane słodczyką.

Miewały dzieci, ale kto bywał ojcem tych dzieci, podanie milczy.

Złośliwe były nad wyraz. Porywały one babom wiejskim niemowlęta i zostawiały na ich miejscu swoje potworne — i dla położnic zwłaszcza były tak niebezpieczne, że „przez sześć pierwszych tygodni trzeba było chałupę zamykać, a chłop musiał siedzieć przy bałcie”. Porywały zresztą nie tylko dzieci, ale i dziewczyny dorosłe i same baby nawet i miały je ssać. Bały i dziewczęta musiały włosy strzyc, żeby ich nie miały za co dziwożony chwycić: „wte kieby sie bę a baba wydano w jeden warkoc zapletła abo dziewczka we dwa — to jus bęła ig. Będa jom było chłopu i cepami wybronić”. Wysysały też mleko cwoom i krowom na pastwiskach albo się do szopy zakradały.

Na dziecko, gdy ukradły, był taki sposób: wynosiło się podłożonego potomka dziwożony przed dom w pole i póty biło się bez miłosierdzia, aż

na jego wrzask pojawiła się dziwożona i odniosła ukradzione dziecko, a wzięła swoje.

Dziwną moc miały nad niemi kwiatki, zwane dzwonki. Gdy kobieta, wleczona przez dziwożony w usyp, chwyciła się ręką dzwonków na łące, musiały ją puścić. Razu pewnego, gdy Górakę z Miętustwa unosiły, na krzyk jej popędzi konno chiop sąsiad na ratunek; szczęściem jedna z dziwożon była kulawa — i tę dojechał. Łap ją za łeb, a że cepy wziął ku sobie, zaczął bić, co wlezie. Dopiero dziwożona ją wołać: — „Cudza żonka, chwyc się dzwonka” — i w ten sposób kobieta się uratowała.

Tak samo wyzwoliła się z ich rąk dziewczyna ze ws Łopusz na Nowym Targu. Ta znękła bez śladu i długo jej nie było, dopiero przypadkiem któryś z Górali napotkał ją w największej dziczy leśnej, piorącą bieliznę. Z płaczem opowiedziała mu, że ją dziwożony tu zawiodły, i błagała, aby ją od nich wyratował. Ustawili się na dzień sposobny, i Góral konno przyjechał, aleści ledwie dziewczyna na koń za nim siadała i z lasu wychodzili na łąkę, tłum dziwożon z hałasem, wyciem i odgrózkami wypadł jak z pod ziemi.

Nie byliby uciekli, bo obiegiy wkoło, ale dziewczyna знаła je już dobrze, krzyknęła więc na chłopów:

— Trzym się dzwonków!

Tak jechali po łacie, od kępki dzwonków do kępki, a że łąka pełna ich była, dziwożony musiały zdala okrażać, i zdołali im zbiec.

Śniałe były dziwożony do kobiet i do starych albo n edołężnych chłopów: tęgich, młodych bały się i wołały unikać. Pewien gazda napotkał w nocy dziwożonę, jak mu wykopywała ziemniaki, które w tamtej okolicy, od Czarne go Dunajca, rzepą nazywają; jak ze złodziejki, zdarł jej z głowy czerwoną czapeczkę. To potem noc po nocy podbiegała mu pod okna, a wołała żałośnie:

Chłopecku, chłopecku, wróć mojom copecke,  
Nie bedem juz chodźić na twojom rzepeckel

Aż jej i wrócił.

Dziwożony kradły, čo mogły. Znaną jest historia, jak ukradły Byrtusiowi z pod Kościelisk fujarę i potem wypychały mu mech ze szpar w ścianach wtykały tę fujarę i trąbiły, wołając: „Nie tak, Byrtuś, nie tak, ba se tak: buuu, buuu! prrrru, prrru, buuul” — że go to niby uczą grać, a on był muzykant (muzyka — po góralsku), na okolicę sławny.

Pijanice były zawzięte. Kaźmиковi Płazie, który miał browar w Chochołowie, wypijały piwo regularnie z beczek, aż się raz naumór popiły i przydybano je w obejściu. Wtedy je Płaza ogniem poparzył i wyniosły się całkiem z tamtej okolicy.

Miały mieć bajeczne podziemne skarby: złote mosty w pieczarach na wodach, ściany, powały i podłogi z drogich kamieni, korytarze, ciągnące się pod ziemią na wiele mil. Ale tam wejść nie mógł nikt, a kto wszedł, ten tylko za cud mógł uważać, że się stamtąd dostał.

Chłopi, których się pytałem, coby to mogło być dziwożony, nie umieją wytłumaczyć. Być może, że naszły niegdyś okolicę Cyganki, i historia o nich rozniosła się szeroko i urosła do nadzwyczajnych rozmiarów. Być może, że Cyganki osiedliły się w usypach nad potokami, gdzie łatwo dziury było na mieszkanie grzebać i woda była pod ręką—a po dziś porywają one chętnie dzieci.

Po lasach, po gęstwinach, mieszkały boginki: te były ładne, psotne i dokuczne, ale nie tak złe, jak dziwożony. Można było być z nimi w przyjaźni, a nawet służywały ludziom. Największą ich uciechą było zwieść parobka, zaprowadzić go w nocy na błota i tak omamić, że całą noc błądził, a do domu trafić nie mógł.

Jakieś także małe duszki wędrują Tatrami, i Jędrzej Wala ze Zakopanego (który do dziś na Węgrzech pod Eperiesz, dokąd się wyniósł, żyje) mówił mi, że idąc raz bardzo rano doliną Kościeliską, ślady stópek takiego duszka na mokrej ziemi widział. Było to obute w kierzce, „w kyrpcoski takie małućkie, bars fajne, kielo mniejse, jako u dziecka”.

Mnóstwo strasznych widm i duchów snuło się nocami. Juhasów w Małej Łące straszyc widziadło—juhas w czarnej smolnej koszuli, w pasie, nabitym mosiądzem, który się błakał po lasach, dzwigając na ramionach kawały surowego, krwią ociekającego mięsa—i mięso to szarpał zębami. Miał to

być zbrodniarz wielki, a to mięso krwawe, które mu na ramionach wisało, to były jego grzechy.

Djabły i Złe prześladowały ludzi. Nieraz chtëpu, samotnemu strzelcowi albo idącemu na robotę do kopalni węgla na Węgrzech przez Tatry górnikowi, gdy go noc gdzie w borze zaszła, odezwało się Złe jak sowa. Odezwało się raz, odezwało drugi, zahuczało trzeci raz, a gdybyś mu był odpowiedział—przyszło. Wtenczas trza było serdak go góry włosem wdziąć, strzelbę popod kolano kurkiem nadół obrócić i, gdy się ukaże, strzelić. Kto miał strzelbę, Złe zabił; ale kto nie miał — ginął.

W nocy strach było wyrzeć na pustki, boś tam mógł łącznie zobaczyć Śmierci tańczące, a było ich trzy na Podhale. Te, kiedy człowieka pochwyciły, tańcować musiał z niemi. Ujęły go za ręce do koła, tańcować musiał całą noc po krzakach, po jałowcach, kerpce zdarł, portki zdarł, mało żywego pozostawiły na rano. Jak był boso, krwią poznać, gdzie tańczył. A pokrzykiwały w tańcu: —„Cheba! Cheb!” — i śpiewały piosenkę:

„My siostry śmierclki,  
Bez matki zrodzone,  
Dusić naród ludzki  
Przez Boga stworzone.”

Podpatrywali je ludzie zdaleka, dokąd się skręca po tańcu, bo w którą stronę poszły, tam był niedługo umarły.

Na niebie, na chmurach, kołysały się „płanie-

tniki", a nieraz taki z chmury spadł i między ludzi zeszedł.

Jest to jedno z najciekawszych i najfantastyczniejszych wyobrażeń góralskich. Płanietniki władały gradami i ulewą, i wogóle pogoda była od nich zależna. Klasyczną o tem opowieść, jedną z najpiękniejszych ludowych opowieści, podam tu tak, jak ją w papierach Jędrzeja z Kościelisk czytałem. Ma to tytuł: „Jak zrobił Sobanek z płanietnikiem”.

W Zakopaném ros w same zbiórki owsiane stánená humura corno nad Gładkom i siéli gradem, co cud. Sobanek młél we młynie pod Łazkem u Sobcoków, co hej; jaz mąka pachła daleko od jego mlyna na drogę, ku samém Wyzdzielniką. E, bo ta Sobanek był študer! strzelec, muzyka. O hej! Miele, a pozéro nad Gładkom. Raty Boskie! Jak tak pudzie dłuzej, to zabiere cysto do krzty Walowe Góre i Gładkom, nima śpasów!... Jele niedługo przestało. Ku wieczorowi poceno sie ozwlócyć, ale wiatér był zimny.

Wyżrół. Ka sie wzieno, tam sie wzieno, przed progem chłopcysko jakiesi nieznajome. Odziote ino w potarganej kamizelce, w gaciskak. Z gołą głowom i boskem. Mokrutkie, jak mys. Ślizgo sie i u tyko po krupak, bo i tu gradem dostało. Trzęsie sie i sceko zębami od zimna. Dygoce całe skrzywione,

— Zje pojdze weredo do izby, bo umarznies! Zagrzéj sie!

Hej, i wleźli.

W izbie było ciepło, na nolepie pod kominem była zażrzebiono w popiele watra. Sobanek łapiel pogrzybacke i ozgrzób wagle olsynowe jarkie; posadziel dziada ku nim na nolepe — niegze sie ta grzeje.

— E, czyjześ nieboże?... E, skądześ? — pyto sie. To nic! Ino scek zębami a patrzy do niego. Dygoce i trzęsie sie od zimna.

— Dėj sie ty tu ozgodos, ino sie zażrzejes! — myśli se Sobek. — Poseł, nabrał zo pieca drew i nawelł na watre. — No grzėje sie teros! A po-te bedziemė godać! Hej.

Chłopcysko sie grzeje, pcho ręce i nogi w piec, ale kamizelka i gacie zamiast sio osusać przy ogniu, to coros barzėj moknie i z kozdego strzėpka pusca sie woda. Ogień na nolepie zalał, cysto zgos, bo sie plugastwo coraz barzėj pchał w piec, niby ze sie grzeje... Potocki wody puscajom sie po dy-lak, od pieca ku dźwiėrzom... Sobek patrzy:

— Zje kis to djabli?!

Łap za łeb i peu ś nim w pole, jaz sie pod pud do burtnice ztulał. Tam woda chlusce zimno, to siadlo w niej i wyscėrzo zęby do Sobka, śmieje siel...

— Hehel... Tu mi strasnie dobrze — gwarzi. — Je-no byk jod.

— To jeno śiedź! — pado Sobek. — Jele sie wy-strzėgoj koła, coby cie nie chyřkło...

Ten sie przypatrzel na koło i hip w korcówki, przejeħoł na nim do okoła. Wyskocył, otrzepoł



sie z wody, wzion ręką za ramie w palecznym kole i cały młyn zestawił.

— Je djabliści w garle!—pomyślał se Sobek.— Tobie, widze, ani młyn nie zrobi nic! To ino siedź!...

Posłał na brzyzek do domu, odłomił moskole większe pół, wzion bryndze kruk, prziniós i doł.

— No jédz—powiada—i siedź, kie tam ci tak dobrze.

Tén wzion, uprzipatrzował sie moskolowi i bryndzy ze sydzkik stron, sprógował:—„Hm, hm, hml... Owsiany popiers...”—Wzion i zjed. A bryndzy to sie nimóg nadziwować:—„Kalpus! Kalpus!...”—Ale dopod i zjed tyz odrazu—i gwarzi:

— Wy ta tego mocie dość, bo jaz—trzi dziśki na izbie, jo ta wiem... Docie mi jesce?... Je dociel dociel Jo wiem. Ale hań za wodom Kunda mo jesce więcél, jako wyl bo jaz styry dziśki w kómorze. Je, jo hań niepude, bo ona nie do... To baba zło!... Ona hańma różne ziele i zwónek taki jakisi, co jo sie nieroz cofnąć musioł, kie zacéna na nim zbyrceć i zielami kadzić... Jo hań niepude, ale kieby jej to wto ukrodl... Widzielibyście!aby sie miała spysna; docysta byk jom hań zamulél!..

— Ehe!... Toś to ty, co gradami rządzi!—pomyślał se Sobek, ale nie pedzioł nic.

— Pockojze, jo cie tu wyrzyktuje pomału, ale te-roz wyrządzoł ci niebede.

Kazdy dzień przinosiél bryndze, słodkiego mléka w gornecku z domu, moskola; płanietnik jod a śmioł sie som sobie.

Siedział u niego całe dwa tyżnia. Jak była pogoda, to całe dnié i nocy mąciéł wodę w burtnicy pod kołem, a jak był dësc, to siedział cicho i śmiał się... Ino telo Sobkowi zawdy pedzioł naprzód dzień, „ze jutro będzie dësc!” I był. Niescyganiéł nigda.

Ku końcu ozbuchał się strasznie. Zacon już i cekanom we młynie wyrządzać i na dziewki różnie brzdżko wołać, bo on wiedzioł o sydżkim, co taka wtoro miała s kim.

W jedne noc jakisi był taki, jak głupi; popod koła i po całym młynie wydziwioł strasznie i Sobka już cysto omierznon. Bo się go już i cekani boli i dokucół wsędej.

— Kieście już djabli weznom kany z tela!... —myśli se Sobek.—Juz tego dość!...—Ale niegodo nic, ino poziéro noń, co będzie robiéł, kie tak głupie...

Ku północy miesiącek pięknie wyséł i świeci. Tén przisél do izby, był kawólek świńskiej skóry na kerpce pod oknem na ławie, wzion cicho pod pazuche i poséł w pole. W burtnicy wyrwoł kensi gwóźdz, dratnoł, wzion i poséł ku wodzie, siód na skałę i zacon tom skórom owijać nogi, a syc cosi ś niej tém gwoździem.

Sobek doł poziór za nim: wyséł pocihutku ze mlyna i na racku poza brzéski olsynkami—co tys ta robi?... Wyziero. Tén siedzi na skałę nad wodom, naciąga skóre zębami, to zaś mierzo na nogi, a poziéro wgóre na miesiącek i gwarzi:

— Świeć, miesiačku, świeć! bo se butki syjem...  
Sobek napatrzył sie mu dość! Wzion skale, kie  
wymierzo w plecty!

— Jecie djabli wzienil—tén pado.—Nieświećciél-  
byk, a nie biél siel Joby se śladno usył buty i po  
ćmie. Wiés?!...

Sobek poseł ciho nazod do mlyna, a ten zno-  
wa kienizkie przisel za nim i gwarzi:

— Jo tu juz niedługo bede u wos, młynorzu. Pude  
stąd, bo mie tam już wołajom moji. Jele se dojcie  
poziór wse. Jak ino uwidzicie, ze pudzie corno  
hmura od Poromina z doła, to nieśpasujcie! Co  
thu zastawiojcie młyn i lećcie prędko na joz, od-  
roście wode do krzty dobrze, bo by wos haw za-  
mulélo.

Jutro w nocy przikurzi śnieg, ale to nic! Bo on  
jesce zgienie i bedzie ciepło.

Jutro była pogoda, on cały dzień zabroł sie  
popod koło po wodzie w burtnicy, a jeno, to wy-  
ziérł ku Orawicą i cały dzień jakisi był smutny,  
ani jeść niekciół.

Ku wieczorowi zacéno sie hmurać od Orawy,  
uwidziół, uradował sie, wyseł z pod koła i przisel  
do izby weselsy i pojod... W nocy przipiérchnon  
śnieg na kerpiec. Tén całom noc niespoł nic, ino  
chodził po izbie, a śmioł sie som do siebie, co  
cud!... Ku raniu przisła mgła jak ciasto, téno ino za-  
céno świtać, poseł w pole; wyciągnon ze spary  
powróśła dwa, owinon w nie nogi i poseł prosto  
po śniegu na Walcocki Wiérk.

Rano nima go długo. Sobanek był ciekawy, kays posel?... Obuł sie, wzion i posel za nim za ślaskem het jaz na Walcocki Wiérk.

Tén ino wysel na som Wiérk, zacon po śniegu chodźć wkoło. Nopiérwěj robiel takie małe kółka, a pote coros to większe i większe; na ostatku podziol sie kensi, ślag sie na śniegu skońcel, nie zostały ino powrósła. Gmła była jak ciasto i porwała go do góry.

— No niegze cie juz ros djabli wzieni! — pomysloł se Sobek i posel du domu.

Niedługo wypogodzielo sie i śnieg zginon cysto pięknie, hej, i było ciepło. Usło cosi ze dwa tyźnia, w samo połednie zaceno kensi ponad Saflary grzmieć i łyskać sie strasnie... Wiater zacon duć od Poromina i niedługo strasno cyrniawa zacapiela cały tén kant i jedzie a hucy nad Zakopane z grzmiotami i łyskawicami, co cudl...

Sobek widzi, ze nieśpas, ze to ta hmura sama, co mu tén padoł o niej kiesi tu; zastawiel młyn, co thu polecioł na joz i wode odstawił het, wzion i obróciel sie do Kundy na Łązek: bo wto wie — pado—co bedzie? i godo jej o tym. Kunda łapiela co thu śpizowy zwónek świencony i ziele, položyla na węgle ognia na miske, wysła do pola i kadzi, a zbércy na zwonku do trzeciego razu...

Hmura stanéna narosl... I grzmieć i łyskać sie przestało trohe, ino sumi w niej i hucy co raty! Jak kieby sie cały Giewont obracoł w niej.

Powicher ros, to zaś drugi ros wiater przicho-

dzi od niej zimny a strasny, co ludzie na świeciel Kunda nic, ino jednom rękóm na krziz zwonkiem zbércy i przezegnuje hmure, a w drugiej tak samo na krziz macho miskom w powietrze, a poduchuje wagle, coby sie jarzyły... Ziele trzescy, poli sie, a dym ·ś niego wiater niesie prosto w hmu-ry...

Ręce juz Kundzie zacynajom cierpnąć, a hmu-  
sko nic, ino stoi. Casem powicher przileci od niej taki mocny, co cysto kce ludzi na ziem sprzeko-  
pyrtować!... Ale Kunda nic, jeno stoi na swoim  
placu a zwoni i kadzi. Casem jej powicher spod-  
nice i nodolek na som wiérk głowy zaruci!... Ale  
u Kundy dziś wstyda nima, bo widzi, ze niepeć!

Wystoli tak do śródwiecz. Dopiero tén s hmu-  
ry woło:

— Puść miel!.. Niezartuj!...

— Niepusce!... Ani na coll!...

— Puść mie tak, jak bez recicel!...

— Niepusce!...

— Tak jak bez przetak!.

— Nic!...

— Zlutuj sie, Kunda, puść mie, nieg przeńde,  
i choć telo ino jak bez sito puscel!...

— Ani na tylec noza niepuscem!... Ani tyćkol!...  
Cofnij sie nazod i idź, skądeś przisel!...

— Nimogel—powiada płanietnik—i jak mie je-  
sce dłuzej tak trzymać bedzies, to puknem.

— Idź nad hole i puknij hań, jak cie juz tak  
gniecie. Ino ludziom nierób despetu zodnego!...

I przestała zbérceć.

Natykmiost hmura sie ruszyła i poseł nad hole i hań zeszło gradami tak, co cud!

Wte oberwoł się Skupniów Upłoz i uwiezło sie go pół do Jaworzinki. Wte sie utworzyły po ha-lak stawy i jeziora, a po graniak wsędej poobru-wała sie ziem i porobiły sie takie wielgie okopy i przikopy długie. A krupy gradu po całyk holak leżały miejscami do wiesny.

Niebyło śpasów!... Kciały ludzi wody po wsiak dołu pozabiérać; tak z hol dudały sydzkami źle-bami i potokami.

Po wiklinach, po kamieńcach i moczarach nad Dunajcem goniły ludzi w nocy topielce albo też czatowały na nich w głębinie. Ucięte głowy toczy-ły się po pustkowiach, z długimi włosami, a cza-sem djabeł przyszedł i naciął drzewo siekierą, aby się każdy potem, kto je zrąbać chciał, kaleczył. Robił on to najczęściej w dzień świętego Piotra i Pawła. Ale były i takie czarty, co się ludziom przysługiwały. We wsi Charklowej wyjechał pewnej nocy z Dunajca pan, po niemiecku ubrany, w powozie, w sześć karych koni zaprzężonym, któremi sam powoził. Jednemu z koni podkowa odpadła — a była cała ze złota — i tę kowal char-kłowski przybił. Za to pan darował mu strzelbę, co nigdy niewidziane ptaki i zwierzęta zabijała.

Djabeł, jeżeli się pokazuje, to najczęściej w „pań-skiem”, „niemieckiem odzieniu”. „I tak, z jednej

skąły wyjeżdżał smok, a na nim Miemieć, ale to pewnie nie Miemieć biał, ino djaboł. I biał jeden bacia, strasznie tęgą chłop—i teli dośmielił, co smoka zabił. I co sie nie zrobiło, Miemieć jeździć przestał, ale skądś z dolin zdalsza prziseł jakisi cłek i u bace sie o tego smoka jon dopytował, jeze—pado—mój biał, a tyś go zabił. A to jakisi biał heba carownik, a djaboł se ta ino wypożyczył u niego smoka, toz to se na nim przy casie jeździł."

Modlitwa dużo mogła. Pewnego razu, dawno, wieźli chłopci obraz świętego Antoniego do kościoła w Łopusznej. Święty był blademi farbami namalowany, a osobliwie blade miał usta. Spotykali go różni ludzie, każdy się przeżegnał i poszedł swoją drogą, aż dopiero jeden młody parobek, kiedy obraz zobaczył, staje i powiada: — „Hej! Święty Janton! Kiz ta sto djasków?! Cyś sie śmietany opił abo co?"

Natychmiast wóz stanął. Ile koni przyprzęgano, ruszyć go z miejsca nie mogły. Ledwie umodlono, że się święty dał powieźć dalej.

Tak samo w tamtej okolicy dziewczęta zakupioną mszą świętą uwolniły duszę parobka pewnego od wiecznej pokuty. Był on bardzo piękny, ale na kobiety zgola nieczuły, i wiele dziewcząt darmo się w nim kochało i wypłakiwało oczy. Raz w niedzielę ujrzał ten parobek łososa na płytkiej wodzie; schylił się, aby go rękami chwycić, ale się przebił nożem juhaskim, co w opasku miał, i umarł. Nóż wrzucono w potok, a jego pochowano, ale

w tem miejscu, gdzie nóż we wodzie leżał, duch zabitego nocami za ludźmi biegał i jęczał. I wybrało się kilka śmiałych dziewcząt pewnej nocy i zapytały ducha, czem mu pomóc.

A on im na to odpowiedział:

Kobietam! gardzilek,  
Lo nikogo nie zylek,  
Ka nóż leży na głębinie, wlećcie cierpieć muse,  
Necie rute\_z kapelusa, wybawcie mi duse...

I dał im rutę z kapelusza na znak, a one mszę kupiły, i więcej się duch jego nie pokazywał.

Był też na górze Centyrz, czyli Cmentarz, pień olbrzymi, z którego nocami wychodził duch w postaci mnicha w białym habicie i kapturze. Kiedy stanął na ziemi, był maleńki jak biały grzyb, ale zaraz rósł i wkrótce stawał się taki wysoki, jak młody smreczek.

Nie pokazywał się często, a kiedy się to miało zdarzyć, albo burza szalała po górach, albo też kwiaty pachniały tak, jakżeby po całym powietrzu rozsiane były. Czasem też wyszedł nie z pnia, ale ze źródła lub z potoku, a kiedy miał niknąć, wchodził w wodę, rozpostarł nad nią habit i malął, malował, aż zginął z oczu. Przechodził koło ludzi, nie mówiąc nigdy do nikogo nic, nic nikomu złego nie robił, a gdy się kto doń odezwał, poruszał głową i ręką. Miała to być pokutująca dusza mnicha, który uciekł z klasztoru i którego zabili zbójnicy w grzechu śmiertelnym.



Raz natrafił na pobożnego człowieka, który na jego widok krzyknął:

— Wszelki duch Pana Boga chwalił

— I ja Go chwale — odpowiedziało widziadło, rozwiało się w nic i nie pojawiło się więcej. Tylko drzewa zaszumiały tak, jakby po nich skrzydło orle śmigło. Ale co osobliwe, że tego miejsca, gdzie się ów człowiek pobożny spotkał z tym mnichem, nigdy już odnaleźć nie mógł, tak, jakby się podziało gdzieś z lasu.

Głowy, toczące się bez kadłubów po polach albo jakieś potworne dzieci o olbrzymich głowach widywali ludzie często. W Łopusznej straszyla taka głowa gdzieś niedaleko Dunajca, miała włosy długie i oczy otwarte; toczyła się i zapadała pod ziemię. Goszczyńskiemu opowiadano, że na polanie w Jaworzynie Kamienieckiej pokazuje się głowa zbójnika, którego tam zabił herszt przez zazdrość, że był mocniejszy i zręczniejszy niż on. Uciał on mu głowę i rzucił we wąwóz, ale głowa wyszła i na polanie „siedzi”. — „Ile razy ją znajdą, odniosą w dalsze miejsca — powtarza Goszczyński — i zrzucą w przepaść, tyle razy ona znowu powraca na swoją polanę.”

W Ludzimierzu w gajach nad Dunajcem pokazywał się ksiądz-topielec i gonił ludzi. Gaje te nazywały się księżę, ale nie pamiętam już, czy należały do plebanji, czy też może od tego księdza-topielca dostały nazwisko.

Węże miały króla swego. Ten był ogromnej

wielkości, tak, że sporą turnię mógł opasać, wszystkimi mu się barwami świeciły łuski, a na głowie miał złoty grzebień — koronę. Niebardzo tam kto węża tego zaczepiać śmiały był, bo to był potwór straszny, choć piękny, ale gdyby się kto na niego porwał, a wąż gwizdnął, to się z całych Tatr, ze wszystkich lasów, wąwozów, rozpadlin węże zlatywały. Czołgały się, aż się mrowiło, a tak szybko, jak strzały ponad ziemią puszczane. I z sykiem otaczały swojego króla, wystawiając żądła jadowite.

Nieraz ludzie w upalne południe widywali króla węzów, jak się grzał do słońca. Mienił się wtedy cały, że powiedziałbyś, tęcza na skale legła.

Jest prastara legenda o tym królu węzów, który panował nad bezludnymi puszciami podtatrzańskimi i nigdy człowiek na oczy mu nasunąć się nie śmiał. Aż pewnego dnia parobek pewien tyle dośmielił, że się z za wierchów Beskidu wychylił ku Tatrom i król węzów go zobaczył. Zaraz tej nocy zerwał się straszny wichur od hał, a na drugi dzień poczerwieniało całe niebo, i wpadli do wsi podgórskich rycerze w czarnych zbrojach, sami śpiący i na śpiących koniach, zagrabili moc dobytku i porwali kilka najpiękniejszych dziewczyn dla tatrzańskich smoków, a powiedzieli, że posłał ich król węzów. I tak co roku wpadali, że ludność wytrzymać nie mogła i uciekać zupełnie z tamtych miejsc myślała. Dopiero znalazł się jeden parobek, zwany Perłowic, bo matka jego, bezpłodną będąc,

od wędrownego dziada perłę do połknięcia dostała i z tej perły on się urodził, i ten zaślubował sobie króla węzów zabić i wsie od śpiących rycerzy uwolnić. Kiedy się jednego dnia nad Dunajcem modlił, lilja przed nim wyrosła i powiedziała mu, że na siodełku w Pieninach broń znajdzie. Znalazł on tam osikową maczużkę, ale jej podnieść z ziemi nie mógł. Lata całe dźwigał ciężary, że już grube smreki sam nosił, a tej maczużki podjąć nie potrafił. Wziął się więc znowu do modlitwy i znowu wykwitła przed nim lilja i powiedziała mu: — „Jak się ożenisz ze mną, to paliczkę dźwigniesz.” — Więc się jej zaślubował i że nigdy żadnej dziewczyny nie dotknie.

Poszedł na Siodełko, a maczużka dała się podnieść jak pióro. Zaraz się tedy zabrał i w Tatry poszedł.

Tu jest śliczna myśl: jak tylko, idąc przez puszcę, dał się ogarniać trwodze, smutkowi i żalowi, zaraz osika zaczynała ciążyć.

Przeszedł las i pustacie i natrafił na chałupę na polanie. A w chałupie była baba niemłoda, zbiedzona bardzo.

— Wtoz hań? — pyta się, kiedy Perłowic zapukał do okna.

— Jo.

— Co kces?

— Wędrowny.

— Skąd?

— Ze Iscownic.

— Uciekaj pokieles żywy, bo jak się tyn han obudzi, co w komorze śpi, to po tobie.

— E, ja ta uciekał niebedem, kiek tele dole prziseł. A wtoz to hań taki strasny?

Ale nim kobieta odpowiedziała, pokazał się w progu komory chłop okrutnej tęgości, ze zielonemi oczami. Tak samo się Perłowica spytał, skąd idzie, a potem poco. Perłowic mu powiedział, że króla węzów zabić i rycerzy wyścigać. A chłop na to:—„Ej wiera! Naprzódzi sie musis se mno sprógować, bo jo haw za stroźnika, a jak mnie nie zmozes, to cie nie puscem dalej”.

Przystał Perłowic, a chłop dał mu pojeść godnie sperki, grochu, sera, placków i wódką go częstował, ale Perłowic pić nie chciał; potem mu powiedział, że się nazywa Wołosyn.

Kiedy się oba najędli, powiada chłop:

— No to podźné sie bić. A scymze ty pudzies?

— Zeć z tom osikowom palickom. A wy?

— E, o to sie wej nie turbuj. Uwidzis.

Wyszli do pola, a gazda poleciał ku wielkiej wancie, przyłożył nią sobie poły od czuchy — odbiegł, a czucha się wyciągnęła w smoczy ogór. Potem palce w gębę wraził, szarpnął — i wyrósł mu pysk i kły. Trzasnął palcami, a z palców pazury wyleciały; na koniec poskoczył i zamienił się cały w smoka w żelaznej łusce, z ogniem w paszczy. Ale Perłowic się nie zląkł i smoka zabił, a kobieta uciekła, bo była u niego w niewoli. Gdzie

smok padł, tam wyrósł góra Wołoszyn i do dziś się tak nazywa; działo się to koło Rostoki.

Potem poszedł i trafił na jezioro, a w tem jeziorze pełno ryb; nazwał je Rybie i tak to do dziś zostało.

Stamtąd drapał się do góry, i zastąpiła mu drogę potwora, podobna do mnicha. Tę zabił i skamieniała potem na Mnicha. Natrafił wkońcu na króla węzów. Długo się bili, ale go wkońcu Perłowic pobił i wąż pod ziemię uciekł. Rycerzy śpiących wprowadzić nie doszedł, bo wąż skałę ogonem na to miejsce, gdzie był wchód do nich, zawalił, ale już potem nie wypadali na doliny i ludziom nie szkodzili. Perłowic zaś sam z lilją się ożenił i do klasztoru wstąpił, gdzie pobożnie umarł.\*)

O rycerzach śpiących, czyli zaśpionych, mówiąc po góralsku, w Tatrach, mamy dwa pojęcia: jedno, że trapiłi oni z rozkazu króla węzów ludność podgórską, drugie — ogólnie dziś i jedynie znane, że wstaną oni kiedyś ze snu, będzie wielka wojna, która się skończy na żelaznym mostku w Kuźnicach (dziś go już niema), i wtedy nastanie „powszechna sprawiedliwość na świecie”.

Był jakiś Fakła Józkuloncorz od Picków, kowal (rodzina Fakłów do dziś istnieje w Kościeliskach), „dziuge razony”, czyli sparaliżowany, który miał historję opowiadać o rycerzach śpiących pod Pi-

---

\*) Długim wstępem opatrzoną tę legendę spisał przed laty ś. p. Kazimierz Łapczyński.

sana w Kościeliskach, tem dziwniejszą, że sam w tej historii rolę odgrywał. Spisał ją podług opowiadania Sabały pan Andrzej Stopka Nazimek ze Zakopanego dokładniej, niż ja to sam z opowiadań innych chłopów mogłem uczynić, a że historia jest jedyna w swoim rodzaju, według więc pana Stopki ją przytaczam.

„W Staryk Kościeliskak, ka sie skręca na halom Smytniom, jest turnia wysoka, a nazywa sie Pisaną — haj.

Drzewień jom inaczej nazywali, ale dzisiak jom panowie przekrzčili, bo sie tam na tej turni pisa-jom — haj.

Różne ta o niej ludzie gadki gwarzom, ze tam wnuku w tej skale jest staw, co ś niego Dunajec idzie, a na tym stawie pływa złoto kacka, co dyamentowe jojka niesie, ale ino jedno na rok — ha .

Roz, co sie nie robi, zabrał sie ta juhas po ten kacke, ale nie dosał, bo ta woda strasznie zimno, a żleb, co nim woda idzie, ciasny, ize o malučko sie nie utopił — haj.

Boginki stawu strzegom, tozto nikogo tam puścić nie kcom, ba go bałamucem, coby sie ś nimi bawił — haj.

Mnie zaś pedział stary Fakla, co był dziuge porazony, takom gware, ze w tej turni ma być woj-sko zaśpione — haj.

Było zaś — prosem pięknie wasyk miłości — tak.

Raz przychodem do tego Fakli, a tu stary lewdo żywy leży na pościeli. Ja se siednon na po-

ścieli przy nim i pytom sie go, coby mu brakować miało. A on mi tak pado:

— Miéły, mocny Bozel hłopce, se mnom źle, Bóg mie pokarał, i jako widzisz, leżem tu już Łazorz moc roków. Dziecko, tyś młodszy, do świataś, a jo dziś, a jutro.

Słuhaj mie, to ci powiem moje żywobycie. I jo był kiejsi tęgi hłop, do rzeczy, a miałek kuźniom i kulek, co komu było trza. Kowoł był ze mnie setny, toz to robotyk miał wse mocki — haj.

Roz, co sie nie robi, kujem ku wiecorkowi, a tu włazi do kuźnie jakisi cłek.

Ładnie, pięknie pozdrowił Pana Boga, toz tok mu odpodziół i zgłupiołek, bo sie na niego przypatrzył i jescek w zyciu takiego cłka nie widział. Niby wojak, bo zbrój na nim, brzoda popas, a głowa ze stali, a gęba tako ładna, jak u janiola w niebie.

I dobrze nie bar-zo, pyto sie mie, cybyk mu podków złotyk nie narobiół?

Jo padom:

— Cemusby nie, dyćjek od tego kowol.

I dobrze nie bar-zo, zacyni my ten robote. Jo kujem, on miehe ruso i robota sła.

Narobiélimé podków i klińcy mnohenko, toz to mój wojak pado, coby zabrać to syćko w torbe i iść ś nim.

Dyć padam mu, cemusby nie, dyćjeś cłek i nie źle ci z ocy patrzy. Kie iść, to iść. Myśliwskie prawo krótkie.

Zabralek sie. Idziemé. On na przodku, ja zaś z podkowami na zadku. I tak idziemé przez Kiéry do Kościelisk.

Zahodzimé ku Pisanéj, a on sie do mnie obra-  
co i tak pado:

— Nie bójze sie, a cicho sie sprawuj, a strzez  
cie Boze nakłońć, kie tam weńdziemé.

Włazimy w jakiesi źleby i dziury, a turnie to  
jakby sie ozestempowały przed nami. Idziemé, idzie-  
mé i zaślimy do nuka.

Patrzem, a tu telo luda, a syćko lezy, głowy  
na siodłak, a syćkie brzody som jest dłuzażne po  
pas — haj.

Jo sie pytom pocihutku, co to za jedni, a wo-  
jok pado, ze to wojsko polskie takie zaśpione i ze  
jak przyńdzie cas, to sie przebudzi, wstanie i pu-  
dzie sie bić za wiare, a ze wojna sie pocnie kajsi  
precki, a skońcy sie na zelaznym mostku w Kuź-  
nicak.

Zacynimy konie kuć. Jo wbijoł kłińce i pod-  
kowyk do kopytów zdajał, a on nogi trzymał. A kiek  
juz syćko, ka co brakowało, ponaprawioł, nabrał  
wojok struzyn z kopyt i wsuł mi w torbe i tak  
pado:

— Mas tu płacom!

Pomyślałek se, kpi se mnie, ale mu sie sprzy-  
cał nie bedzies, choć mi strasnie markotno było,  
bok cały dzień minon.

Wzionek torbe i wyhodzący wysułek te stru-  
zyny, ale kiek wyseł na pole, patrzem w torbe,



a tu nima struzyn, bok nie syćkie wysuł, bo mi sie po torbie oorały, ino som jest dukaty. Było ig kielka.

Kiebyk był syćkik struzyn nie wysypał, bylbyk sie zratował dość godnie, alejek musiał być nie godny.

Pomyślałek se:

— Dziadowi nie daj konia, ba torbe i kij—i poselek.

Zahodzem do hałupy, a baba mnie ze zębami przijena:

— Kaś ty był tele casy, co cie trzi dni w doma nie było? — haj.

Nie wiedziałek, kie tén cas tak wartko przeleciół, bo sie mi to ino kwilka widziało, ale se myślem: „Nie bedem sie z głupiom babom dogadował, bo to u nik włosy długie, ale rozum strasznie krótki—haj”.

I kułek pote dalej to siekiéry, to co sie kany trefiélo, jaz tu znova po kielku rokak prziseł mój wojok i znouwjek mu robiel podkowy, a jak juzek dość narobiel, to my pošli tam ka i pryndzėj. Myślem se: „Nie bedem jo juz taki głupi. Nie bedem struzyn praskał.”

Kujemy. Jo sie ucion w palec — haj — toz tok naklon głośno, a tu co sie nie robi, wstajom ci naokoło mnie. Mnie strak obujon. Jeden sie pyto: „Bracie! cy już cas?”

Ale mój wojok mu tak pado: „Nie jesce, śpij dalej!”

Na mnie sie ostro popatrzał i pogroził mi palcem.

Jak my kuć skończyli, to mi znowa wsuł przygarźnie struzyn do torby — haj.

Idem. Kiek wyszeł, patrzem w torbe, kielo bedem dudków miał, a tu w torbie trzaski z kopyt, jak były. Jo sie ozpajédził, bo mi casu było zol, alek se pote pedział: „Ze j tu bez to dziade nie bedem”. Wysulek trzaski i poseł. Na Kiérak wskocył—haj—telężego do Zyda. Wypilek, a kie sie ozór pomaści, to i lekcej hodzi.

I tak wypapłolek syćko Zydowi, Zyd ozgadał po świecie, cok mu napedział — haj

I teraz co sie nie robi, roki lecom i lecom, a konie niekute, bo ta teroz bodaś kogo nie puscom, bo musi być taki parobek, co ku dziewczkom nie chodzi — haj. Jo za kare sie zaroz oznimóg i lezem tak moc roków. Z Panem Bogem nie bedzies w karty grał—haj.”

Tak to — prosem piéknie—gadał mi ten Fakła, a świércki to mu ciurecke z ocy leciały — haj.”—

Słyszysz się jeszcze od czasu do czasu fantastyczne historie o nadprzyrodzonych siłach. Jedną z najpopularniejszych jest opowieść o tym dziadku, który na halę Miętusią przyszedł, a gdy go tam juhasi z bacą źle przyjęli, psami poszczuli i jeść mu nie dali, zawałiła się na nich potem cała ubocz skaliśta i wszyscy zginęli pod skałami czyli pod waniami, a dziś to miejsce *wantulami* się nazywa. Ten

dziad miał to być sam Pan Jezus, który ludzi próbować poszedł.

Pod Pisana, w turni, skąd woda wypływa, ma być staw, a na nim kaczka, co złote jaja niesie, ale tylko jedno jajko raz na rok. Próbowali się tam ludzie dostać, ale „nie zdołał niwto”.

Górska fantazja lotna była dotwarzać opowieść do fantastycznych kształtów skał, jakoby wytłumaczenie. Owe mnichy, sowy, chłopki kamienne, wszystko to skamieniało z istot żyjących. Dziś już „dziwtóry ledwie se przibacy”, jako to było, jak np., o tym chłopcu, skamieniałym na Łysankach nad Bramką, co wioził proch dla zaśpionych rycerzy pod Pisana, a gdy go nieprzyjaciele napadli, modlił się, aby Pan Jezus zamienił proch w kamień i tak się stało, ale i on sam przytem w kamień przerósł.

W Żabim, nad Morskim Okiem (tak samo, jak i w Czerwonym Wierchu i w wielu innych jeszcze miejscowościach), jest kościół. Jeden juhas z Muru, co pod Żabim pasał, usłyszał, że wewnątrz skały dzwony biją, włożył do jamy i zobaczył ogromny kościół i księdza przy ołtarzu, a na organach grał organista. Strasznie się przeląkł i „przekopyrnton sie na ziemi”—i obudził się dopiero w rok później. Nie chciał wierzyć, że rok przespał.

Blizszych szczegółów o urokach i zapobieganiu przeciw nim trudno się już dziś dopytać; powtarzają się powszechnie znane historie „o złych oczach”, czarowaniu mleka etc. Że Górale byli

dawniej niezmiernie zabobonni i przesądni, to nie ulega żadnej wątpliwości, a owe ozdoby z kostek, szkiełek, paciorków i kamyków, które nosili na kapeluszach, we włosach powplatane i na szyjach, jako wianki, owe „gombicki” i „brymbulce” były nie tylko ozdobą, ale miały rozmaite przymioty i znaczenie. Były to niewątpliwie amulety, podobnie, jak i spinka mosiężna na piersiach, noszona do niedawnych czasów przez wszystkich chłopów bez wyjątku, a która, jak trafnie dowiódł dr. Eljasz Radzikowski, jest prastarem wyobrażeniem jakiegoś bożka, idolem. Do niedawnych czasów wiara chrześcijańska była u Podhalańców czysto powierzchowną naleciałością, w gruncie rzeczy mieli oni wierzenia pogańskie. I to jest niesłychana, niepowetowana szkoda, że wierzenia te starły się i zatraciły, zatraciła się bowiem wraz z nimi i starła jedyna w swoim rodzaju poezja. Taki prosty przykład: jadę zimą sankami przez Kośny Hamer nad Poroninem, a stary chłop przede mną wiezie nacięte w lesie brzeziny. Chce się uchylić na wąskiej drodze, żeby go można minąć, ale brzeziny, sterczące za włókami, to tu, to tam się przesuwają na ślizgiej drodze. „One ta majom vse swojego boga”—mówi na to stary chłop. Znaczy to, że się kręca niezależnie od kierunku włók, na których jadą, ale wspinały ten frazes urodzić się tylko dlatego mógł, że niegdyś wszystko miało „swojego boga” i że cała natura nie była martwą, osierociałą, pustą i głuchą jak dziś, ale pełną nadprzyrodzonego duchowego

życia, pełną bóstw pokrewnych i bliskich ludziom,  
które w niej szumiały jak w lesie wiatr.

Krotki ten szkic wobec prac wielkich rozmia-  
rów, które literatura tatrzańska wydała, ma zna-  
czenie czysto popularne.

Zakopane 1905 r.

### *JANOSIK W LEGENDZIE*

Epopeja o Janosiku jest tylko kwestją czasu. Słowianie kochają się w opowiadaniach, i zarówno Tatry, jak Janosik, opowieść o sobie prędejszy, czy później mieć muszą.

Tatry epopeję swoją mieć muszą i muszą ją zrodzić, epopeja potrzebuje bohatera, a ten bohater już jest: Janosik rodem z Tarchowej z Hornotrencianska, powieszony „za pośrednie zbroje” na haku w stolicy komitatu liptowskiego w Liptowskim Świętym Mikołaju (po góralsku Mikułasz, po węgiersku Lipto-Szent-Miklos) 13 marca 1713 roku.

Z tego więc względu, że postać ta, jeśli nie specjalnie w literaturze polskiej, to w tak bliskiej językiem i pobratymczej słowackiej, wyrość ma na bohatera może naprawdę wielkiego poematu, że może jesteśmy świadkami rzeczy dziwnej, której powstawanie przywykliśmy tylko w bajecznej przeszłości we wyobraźni sobie przedstawiać, to jest tworzenia się społecznie nam bohaterskiej epickiej legendy—zdało mi się godnem to, co udało mi

się o Janosiku dowiedzieć, w niniejszem miejscu podać.

Jaki Janosik, ów najsłynniejszy zbójnik podtatrzański, ów „hetman zbójecki”, istotnie był, tego dokładnie nie wiemy. Urodził on się i na Liptowie, i na Spiżu, i po polskiej stronie Tatr nawet, stał się bowiem własnością całej podtatrzańskiej góralszczyzny. To powszechnie mu przyznają, że „możnych łupił, a ubogim dawał”, „sukno mierzał od buka do buka” (to jest darowywał postawy sukna, ile między jednym bukiem a drugim mierzyło, a buki za jego czasów były olbrzymie, więc rzadko rosły), że „woły biednym kupował wieśniakom” i że „nikogo nigdy nie zabił”, z czem zresztą w legendzie polskich Górali, dzikszych i okrutniejszych, niż słowaccy, rzecz się ma inaczej. Tu Janosik jest nawet okrutnikiem, który oczy wylupuje murarzowi, aby nie trafił do pieniędzy, które mu Janosik zamurować kazał. Być bardzo jednak może, że polscy Górale rozmaite niecne sprawy swoich rodzimych drapichróstów o rysiej i żbiczej naturze do podania o Janosiku przymieszali.

Legendy słowackie, znam ich dwie, zgoła różnią się od polskiej. Oto, co opowiadają Słowacy:

„Kralowa Hoła (w paśmie Niżnich Tatr, Liptowskich), nad szerokimi lasami, nad jasną doliną, wysoka to góra, pamiętna góra, wielki grzbiet jej bez lasu, oko zeń patrzy daleko. A pod słońce i wiatr, pod pioruny i deszcz, stoi na jej grzbiecie kamienisty stół, orosły mchami stół z kamienia.

Tam siadywał ze swymi gości i dworzanami, kiedy na łowy szedł, władca ziemi węgierskiej, wesoly król Matej (Matyas Korwin).

Król w łowieckiej guńce, ze złotym rogiem, panowie magnaci w złotem szytych dołmanach, w czapkach baranich, perłami zdobionych, z oszczepami w rękach, a toporami przy boku; kołem stali strzelcy królewscy i pańscy, kołem leżały psy, wilkodławy, dzikowce, niedźwiedziarze. Słudzy a ludzie z doliny znosili jadła i napoje, i król pożywał ze swy ni gośćmi, a zdala, w dolinie, świeciły im zamki, kościoły i dziedziny szerokie cudnej słowieńskiej ziemi.

Kiedy się wszyscy najedli i napili do sytości, zaś wstał król i zadał w róg i dalej na łów szli, na niedźwiedzie, o łapach na dwie piędzi szerokich, na dziki, o kłach jak krótki miecz, na wilki i wielkorogie jelenie.

Tak bywało za króla Mateja.

Ale po jego śmierci umilkła Kralowa Hola, a kamienny stół, orosły mchami, pusty stał długo. I na dolinach zmieniło się wiele: w zamkach panoszyła się buta, złość, chciwość i swawola pańska, w wiejskich chatach zagnieździły się piacz i narzekanie, nędza i niewola uciemiężanych chłopów. Zawisły nad słowacką ziemią pańszczyzna, łapaczki, jak mór.

„Zle bolo, że niemohlo byt' horsie" — mówią o tych czasach.

Przed uciskiem i porywaniem do służby i do



wojska młodzież uciekała w góry, w las. Tam powstawali „hõrni chlapci” (nasi góralscy „horni hłopczy”).

W ten smutny czas bywało znów gwarno i żywo na Kralowej Holi, a wokoło kamiennego stołu zasiadała drużyna ze swoim wodzem. Ale nie był to król, tylko był to „horny chłopiec”, Janosik z Tarchowej z Hornotrencianska, a z nim nie magnaci, „velkomożni” pani, ale „kamaráti”, (po góralsku „towarzisia”), jedenastu „dobrych chłopców” w baranich opłatanych szkiełkami i blaszkami czapkach, w zielonych koszulach, w cyfrowanych portkach i wyszywanych kabatach, a każdy miał strzelbę przez plecy albo dwie, ciupagę w garści, po dwa pistolety i po dwa noże za szerokim pasem, a zwali się Surovec, Adamczyk, Hrajnoba, Potuczyk, Uhorczyk, Tarko. Mucha, Duryca, Michalczyk i muzykant Ilczyk.

(Legenda góralska daje Janosikowi towarzyszy dwunastu, między nimi „szlachcica polskiego”, Baczynskiego.)

To byli towarzysze Janosikowi, z którymi chodził on „po zbóju” mścić się za krzywdy swego rodzzonego ludu.

A mścił się i za siebie. Wycierpiał ojciec jego i on sam od „pana” niemało.

Legenda w streszczeniu tak mówi:

Janosik urodził się z ubogich rodziców, wieśniaków w Tarchowej. Ojciec jego przeniósł się na Liptów, a nie mając swego gruntu, zdany był na

łaskę i niełaskę swojego ziemskiego pana i ze swoją żoną pocił się od roboty krwawym potem od rana do nocy.

Kiedy się urodził i odchowwał Janosik, ojciec, widząc, że ma zdolności, ubłagał pana, aby pozwolił go dać do szkół, gdzieby się mógł uczyć na księdza, co jedynie było przystępnem synom i nie-szlacheckiego pochodzenia. Po wielkich prośbach przyzwolił pan, i posłano Janosika do Kiezmarku (inne podanie mówi—do Nitry, polskie—do Podołęńca na Śpiżu) na naukę.

I uczył się Janosik po łacinie, i wszystkiego, ojciec na niego nakładał, sam od ust sobie odejmując, ale pan, w miarę, jak się syn poddanego jego do niezależnego stanu podnosił, począł się wściekać o to, a przeszkodzić już nie mógł. Tem więcej więc zaczął prześladować Janosikowego ojca. Raz w raz przychodził hajduk i wołał:—*Na pański!*—tak, że ani na dzierzawionym kawałeczku pola zasiać, ani zebrać czasu nie było, siano się zaparzało, owies gnił. Znosił to ojciec Janosika, myśląc o synu: „Ten że bude pánom...”

Wtem dano Janosikowi znać—miał wtedy dwadzieścia jeden lat—że matka bardzo chora, aby przybywał. Wybrał on się zaraz w drogę i zastał matkę konającą. Ledwo chwilę pobawił w domu, już wszedł hajduk dworski, wołając:—*Na pański!*—Janosik nie dał ojcu iść. Narazie hajduk sfołgował, widząc konającą, ale później wrócił posłany z ludźmi, i Janosika, i ojca jego spętali, na zamek za-

wlekli i strasznie zbili. Pod tą chłostą ojciec umarł, a Janosika ledwo żywego na gnojnym wozie wraz z trupem ojca do domu odwieziono. Matka żyła jeszcze, ale na widok martwego męża i skatowanego syna umarła.

Teraz Janosik, przyszedłszy do siebie, postanowił już nie wracać do Kiezmarku czy Nitry; poszedł w góry.

Tułał się po szalasach i pustkach i trafił na bandę zbójceją, której hersztem był Uhorczyk. Ten, wyzwawszy Janosika „za pasy”, pokonany przezeń, dowództwa mu ustąpił, i teraz zaczął się okres Janosikowej sławy i chwały. Ani najliczniejsze drużyny, ani zamki, ani wojsko, nic nie mogło oprzeć się Janosikowej sile, odwadze i zręczności.

„Odkazywał” on wprost do panów, że przyjdzie z wizytą, przychodził i brał, co chciał. Napadał na drogach i zatrzymywał okrzykiem:

„Tu, panie, za chłopskie nagniotki!”

Łupy między towarzyszków dzielił, część zakopywał, część między ubogich rozdawał.

Wielu panów węgierskich polepszyło dołę swoich poddanych nie z miłosierdzia i dobrego serca, ale ze strachu przed Janosikiem. Jakże mu się było oprzeć, kiedy potrafił kamień wielki sznurem obwiązać, we wysokie okno na piętrze cisnąć i potem po tym sznurze wraz z towarzyszami się wyśpinać?...

Legenda opowiada, jak Janosik kochał się w muzyce i w popisach zręczności swoich towarzyszy.

Na obrazkach też zbójckich, na szkle malowanych, stoi Janosik z czarką w ręku w czerwonym złotem szytym kostjumie, jeden ze zbójników gra na kobzie, a jeden wyskakuje tak wysoko, iż ciupagą śc'na wierzchołek jodle na prawo, a z pistoletu odstrzela na lewo.

Ciekawy szczegół słowackiej legendy jest następujący: kto tylko mógł z towarzyszków Janosikowych, łapał wędrownych studentów, zwłaszcza kleryków, co przy ówczesnym stanie komunikacji nierzadko' zdarzyć się mogło. Wiedli takiego uchwyconego wędrowca do obozu Janosikowego, najczęściej na ową Kralową Holę, i tam Janosik rozmawiał z nim po łacinie, i jeżeli widział, że to „kleryk i niegłupi”, kazał mu mieć kazanie dla bandy. I tak, jak legenda mówi, wśród płomieni watry i wyjących wilków, kleryk, wstąpiwszy na skałę, rad nierad, drżąc ze strachu, musiał kazać o chrześcijańskich cnotach, przyszlým żywocie, wiecznej odpłacie. „Niekdy sa chlapci pri takej pobožnosti až poplakali w hlbokom pohnuti”.

Potem Janosik gościł studenta do rana, a na odchodnem nasypał kapelusz dukatów, albo kazał namierzać sukna na ubranie „od buka do buka” swoim zwyczajem.

Dosyć długo tak Janosik wędrował górami, a śmierć podług jednego podania nastąpiła wskutek zdrady towarzysza Ilczyka, który go za pieniądze wydał, podług innego wskutek zdrady kochanki, mszczącej się za to, że Janosik zaproszo-

ny na zabawę, z córką gospodarza w Liptowie tańczył i zalecał się do niej.

Janosika powieszono za żebro na haku, a kiedy, jak podanie mówi, przyszło ułaskawienie z Wiednia, nie dał on się już zdjąć z szubienicy, mówiąc: „Ked'ste ma upekli, teda ma už i zjedzte!”

Tak brzmi w krótkości legenda słowacka, wogóle mało zajmująca i w wielu wersjach rozskliwiana, sentymentalizowana i zbyt widocznie stosowana do tendencji politycznych Słowaków, jak np., w drugim opowiadaniu pisarza słowackiego, Hamora.

Nierównie barwniej, żywiej i w swoim rodzaju artystyczniej wygląda ona po polskiej stronie, gdzie znam ją w dwóch warjantach. (Legendę tę prawie w każdej wsi zresztą opowiadają z odmianami, prawie wszędzie dając Janosikowi inne miejsce urodzenia).

„Bél roz student Janosik, rode ze Spiza, cy skąd-si, i seł ze skoły du domu, na wakacyje. Seł bez wielgi las i zamiérknon. Drogi dobrze nie wiedział, pobłondziél. Łazi, łazi, jaze wyloz na drzewo i patrzi, ka ta kraj lasu? A béla hałupina w tyj ta stronie. Co nie robi, cisonn copke na ziemie, co-by wiedział, we wtorom strone iść, jak ślezie z drzewa. Śloz. Idzie, idzie i zaseł do tyj hałupki. Patrzi okne, bo sie hań świciéło: babsko hań siédzi stare i straśnie brzydźkie, ale nie béło co robić, wloz. Pyto sie go baba: Co fces? Pocos haw przisel?

— Fciałbyk zanocować—pado student.

— Jakoz jo tobie nocowała bede? Przidzie moja starso siostra, to cie zabije.

— Niek ta bedzie, jako fce—pado student—nie ide nika stela.

— No to, kięs taki śmiały, to siedź.

Powiecerzał ś niom, sowała go za piec, lóg i śpi.

E, nie uspał ta tęgō. Przileciała ta starso siostra, mało przisiadła na ławie, pado:

— Cyja haw dusa śmierdzi?

— Wychodź, Janosik!

I musiał wyjść.

Musiał wyjść za pieca; zaś go i ta na wieczerze pozwała i wiecerzał ś niom. Kie powiecerzali, pado mu ta drugo siostra:—„Bier sie w pole, bo kie przidzie nastarso siostra, to cie zabije.

— Jako fce. Nie idem nika tustela.

Włoz za piec pod koryto zaś znova.

Za kwilke przileciała ta nastarso.

— Cyja haw dusa śmierdzi?

— Wydź, Janosik!

I musiał wyjść.

Trzeci roz ś niom wiecerzał; lóg i śpi, w rzeczy udawał, ze śpi, a słuhał, co bedom radzić.

Jedna radzi:

— Połóžmy mu wągłe jarzące na pępku, cy wytrzymie? Jak sie nie obudzi, to bedzie hłop, jak sie patrzy.

No i dobrze nie bardzo, nasuły mu jarzącyk

wagli na pępek; ale on nic, ani nie pisnon. Tak wtodej radzom ty baby:

— Hłop! Trza mu dać mundur.

Jedna pado:

— Jo mu dom wałaske, co ośmioro drzwi sama przerąbie, a kie sie na nij znesie, trzi mile przeskoczy.

Druża pado:

— Jo mu dam kosule!

Trzecio:

— Jo opasek.

A w tej kosuli i w tém opasku strasno bęła sięła.

Wałaska i opasek bęły gotowe, a ta, co kosule miała dać, na wiecór konopie siała, a na rano kosula bóła. Bo to bóły carnoksiężnice.

I padajom mu rano tak:

— Janosik, nie bedzies jus nijakim księdze, ani cośi kajsi, ino mos ostać zbójnike. Naści ciu-pagę, i kosule, i opasek.

I pedziały mu; co wtore worce.

I co mu nie nakazały: ojca zazbójować. A kie tego dokona, miał być nad syćkik zbójników pięrsy.

Wzion Janosik ten zbroję, sował, a we swojém studenckim odzieniu du domu poseł. Przindzie, siód na ławe, a ociec sie prawie na jarmark wybiéroł.

— Po co idziecie, tatuśiu?—pyto sie Janosik.

— Na woły.

— Nie icie, bo wom zbójnicy zastompion w lesie i piniondze wom weznom.

— Ej — pado ojciec — musiałbyk sie na takom ciarapare podać, jako ty, coby jo piniondze zbojnikom dał!

— Bedziemy widzieli — pado Janosik.

I ojciec poseł na jarmark.

Tak Janosik hip z ławy, odział sie do kosule, zapión pas, siód na wałaske i leci za ojce. Doleciał go hnet, zastompil mu w lesie, cupnon wałaskom o ziem, jaze zazberkła, i pyto sie:

— Ka idzies?

— Na woły — pado ociec, a łydki mu tańcujom od strachu.

— Bogu duse, a mnie piniondzel

Ociec wzion i dał.

— Syćkie?

— Ani tys na droge du domu nie bedem miał.

Dał mu Janosik reński na droge i poleciał na ciupadze do hałupy. On za godzine hań bét, a ociec lewdo w drugi dzień.

Sował Janosik mundur i nic. Siedzi na ławie.

E, przidzie ociec z płace w drugi dzień. — Prowdeś mi powiedział, synku — joicy — oj, prawde!

— Co sie wom, tatusiu, stało?

— Ej stało sie mi, bo mi zbójnik piniondze wzion. Lewdo zek go o papiérek upytał na droge.

— A poznalibyście go?

— O poznalbyk! Kosule miał strasnom i pas i ciupage wieldzażnom.



Ubrał się Janosik w mundur, włożył na pośrodek izby i pyta się:

— Nie tén to bél?

— O tén, tén!

Tak wrócił ojcu piniondze i pado:

— Jus nie bedem księdze, leme zbójnike, Bądźcie zdrowi.

I zniósł się na ciupadze. Jus go ojciec więcił za swojego życia nie widział."

Inny warjant brzmi tak:

Janosik urodził się „w Polskiej”, pomiędzy Suchą Górą a Witowem, na Krowiarkach przy Orawskiej granicy. Ojciec jego był baczem w Jarzabczej nad Chochołowską Doliną i w Starej Robocie. Kiedy już Janosik podrośł, wziął go ojciec na hale na honielnika (poganiacza) jagniętą paść. Pasie raz na upłazie od Luptowskiej Raczkowej w Starorobociańskim szczytce i zasnął, a tymczasem wyszedł niedźwiedź z lasu i jagnięta pobił.

Obudził się Janosik, patrzy, jagnięta pobite i na kupę ściskane, jak to niedźwiedź robi. I uciekł ze strachu, bo się ojca bał.

Szedł graniami, aż się na Pysznej spotkał z dwoma mnichami z Węgier, co jagnięta po szalasach zbierali. Pytają się go, czego płacze.

— E tak i tak—pado Janosik.—Niedźwiedź miwej jagnienta wybił, nie pude do domu, bo się ojca boje.

I płacze.

„Uzaliło” się go mnichom i zabrali go ze sobą

na Śpiż. Tam dali go w Kiczmarku uczyć na księdza, a potem na dokończenie umyślili posłać do Lewoczy. Ale Janosikowi po drodze zrobiło się „luto” za ojcem i matką, których już dawno nie widział, i postanowił do domu iść.

Zabłądził w Lendackim lesie.

I tak samo, jak poprzednio, dostaje się Janosik do czarownic, tylko że są tylko dwie: matka i córka. Przechodzi tę samą próbę z węglami, poczem dostaje ciupagę, co sama rąbie, pas, co w nim za sto chłopów siła, i koszulę, której nie przebiję nikt.

I tak samo każą mu „zazbójować naprzódzi ojca”, tak samo „cupnoń ciapagom o ziem, jaz syski ze smreków sfyrcały”, tylko że tym razem Janosik dał ojcu nie reńskiego, ale tylko szóstkę (dziesięć centów) na drogę.

Oba warjanty przedstawiają Janosika zgodnie z legendą słowacką jako dobroczyńcę ubogich, a łupieżcę tylko bogaczy, oba też powtarzają anegdotki podobne. Dobrał on sobie dwunastu towarzyszy, a każdy musiał swoją „štuke pokazać”, nim go przyjął. Więc jeden najtwardszy kamień w garści kruszył, drugi najgrubsze drzewo łamał, trzeci nad las podskakiwał. W muzyce kocha się Janosik polski tak samo, jak słowacki.

Tu przytoczę anegdotki, spisane dobrze przez ś. p. profesora Wrześniowskiego, charakterystyczne dla góralskiej wyobraźni.

Szedł raz chłop na kiermasz, na woły. Pyta się go Janosik:

— Dużo masz pieniędzy?

On mu odpowiedział:

— Trzydzieści reńskich.

Wziął i dał mu czterysta reńskich.

— Kup za wszystkie pieniądze woły, a jak pójdziesz z wołami, przyjdź tu i pokaż mi je.

Chłop zaszedł na kiermasz, takich wołów nie było drożych; bardzo się turbował i dał odembnować: „Kto na tyle pieniędzy woły ma?” Nie było, ino we dworze, a jeszcze nie kosztowały tyle; ale zapłacił i wiódł. Zaszedł tam do lasu z temi wołami. Janosik się go pyta;

— Dużoś dał?

Powiedział, że mu zbyło 100 reńskich, ale mu Janosik nic nie powiedział, ino kazał wieść do chałupy.

Szła raz baba na jarmark. Pytał się jej Janosik:

— Gdzie idziesz?

— Na kiermasz.

— Poco?

— Na buty, ale mam mało pieniędzy.

— Naści piątkę (5 reńskich), kup-se fajne buty.

Baba szła na kiermasz, pieniędzy jej żal było; nie kupiła butów i szła do chałupy bez butów. Potkała się na drodze z Janosikiem.

— Kupiłaś buty?

— Nie kupiła.

- Czemu?

— Bo mi żal pieniędzy.

Wziął, obłupił jej nogi po kolana.

— Kazałem ci buty kupić, toś mogła kupić; teraz masz buty darmo!

Dowiedział się, że tam gdzieś przy Sączu jest pan bogaty. Posłał posłańca do Mszany do dworu, aby mu tam obiad narychtowali: dla niego i dla dwunastu sług. Na znak zakręcił kawał ryfy na szyi posłańca. Ten zaszedł i melduje we dworze, iż Janosik będzie na obiad z dwunastu sługami. Oświadczali, że będzie obiad, i posłaniec poszedł; a tymczasem z całych wsi pozganiali najmocniejszych chłopów i strzelców i przystroili się na niego. Janosik idzie, a tu stoją. Tak porwał kobyłsko za nogę, jak nie obyrknął dokoła, połowa ich padła. Złapał bryczkę i przecisnął przez pałac, na drugą stronę pobiegł i w locie ją chwycił. Potem wziął wiele pieniędzy bardzo i tak zbójował.

Liptacy wciąż na Janosika nastawali, aż cesarz posłał na niego regiment wojska. Wojsko przyszło z flintami, a Janosik wychodzi ino z ciupagą. Żołnierze strzelają, a Janosik kule w powietrzu chwytą i w oczy im ciska (bo się go kule nijak nie imały). Jak zawołał: — „Ciupaga, rubaj!” — tak ciupaga wszystko po drodze rubała i regiment wojska uciekł.

Janosik bardzo był pobożny. Idzie raz i spotyka studenta z Podołęna, gada z nim i ku sobie przyjmuje. Student zmówił się niedługo z haj-

dukami i obiecał zabić Janosika. Raz Janosik modlił się, jak zawsze klęczący. Student, niewiedzący, że się Janosika kule nie imają, z flinty do niego wypalił, a Janosik jakby nie słyszał, ani się obrócił. Student drugi raz strzelił, i znowu Janosik ani się obezrał, tylko się modlił. Straszno się zrobiło zdrajcy; jeszcze raz strzelił i począł uciekać, ale Janosik skończył modlitwy, skoczył i zabił go.

Przytrafiło się jednego razu, że cesarz z drugim królem wydali sobie wojnę, co się miało dwóch rycerzy bić w pojedynku. Tak cesarz przysłał szwadron huzarów po Janosika i posłał dla niego konia. Przyjechali i pytali się, gdzie Janosik mieszka? Pokazano im w górze, w lesie. Pojechali tam, spotkali Janosika i pytają go:—„Gdzie tu mieszka Janosik?”—On wziął, wyrwał buka z korzeniami i pokazał im, że tam mieszka. Oni się zaraz zmiarkowali, że to on sam, i prosili go, że posłani są od cesarza, aby jechał z nimi bić się w pojedynku, i dawali mu konia, ale on nie chciał; powiedział im:—„Ja tam prędzej będę, jak wy!”—W trzeci dzień za nimi poleciał, w trzeci dzień oni dojechali, a on już tam był. Meldował się, skoro ci przyjechali, że już jest. Chcieli go potem blachą skować na piersi i konia pięknego, krzepkiego dawali, ale on nie chciał ani szabli, ino ze siekierką poszedł. Szedł naprzód, a cesarz z wojskiem za nim—i zjechali się na placu z nieprzyjacielem. Nieprzyjacielski rycerz był na koniu, skowany okrutnie blacha-

mi, uzbrojony okrutnie. Wzięli się za ręce naprzód, a potem rycerz chciał Janosika zaciąć szablą i z pistoletu strzelić; a Janosik złapał konia za nogę, ino raz o ziemię cupnon, nie została mu ino noga w garści. Tak go cesarz chciał zająć ze sobą, ale on nie chciał iść, ino powiedział: „że ja za regiment obstoję, a moi słudzy za drugi”. I zniósł się na siekierce i już go nie widzieli.

Drugi warjant, znany mi, wyraźnie mówi, że „król węgierski powadził się o coś z cysarzem austryjackim we Widniu” i cokolwiek inaczej opowiada ów pojedynek. Janosik powiada rycerzowi: — „S tobom, dziadu, biel sie nie bedem, bobyk sie hańbiel! (wstydzil)” — i każe go bić swojej ciupadze, która potem bije i owego „króla węgierskiego”, powadzonego z „cesarzem austryjackim”.

Koniec Janosika był następujący: całe Węgry, a specjalnie Liptów, zaprzysięgły zgubę Janosikowi. Przekupiono jego kochankę i ta zdradziła, że Janosik ma siłę w koszuli i w pasie, a ciupagę zamknęła mu, jak jedni twierdzą, za dziewięcioro, jak drudzy, za siedmioro drzwi, inni, że zamknęła ją do dziewięciu skrzyń. Dość, że gdy Janosikowi podsypa no pod nogi grochu, aby upadł, i gdy za poradą kochanki (lub także starej baby, jej powiernicy) przecięto mu rzemień na brzuchu, ciupaga się wyrabac przez te wszystkie zapory nie mogła, i Janosika ujęto i związano. Jeszcze jeden jest warjant, mało zresztą powtarzany, że byłaby się ona wyrabala, ale gdy mu „zacięto” siekierę

w kark, wtedy zawołał on na swoją ciupagę:—*Stój, bo jus se mnie nic!*—i ciupaga w ostatnich drzwiach stanęła.

Tu na końcu jeszcze pokazuje się Janosika nadludzka moc. Z „centowemi” (centnarowemi) okowami na nogach obtańcowuje on „dwanast” razy szubienicę „hajduckiego”, t. j. w odskoki („koło ziemi” lub „ponad ziem” po góralsku; przysiudy), poczem, zawieszony „za pośrednie ziobro” na haku, wypala funt tytoniu we fajce, czekając na „pardon” od cesarza, do którego pisał, że jeśli daruje mu życie, to on sam stanie za regiment wojska, jego ciupaga za drugi, a jego towarzysze za trzeci. Ponieważ panowie liptowscy na pardon nie czekali, cały Liptów po dziś dzień ma płacić kary ćwierć korca cwancygierów czyli „wirtelik śrybła”.

„Tak się skróś freirki Janosik skończył.”

Ciupaga Janosikowa, jak jedno z podań twierdzi, wyrąbała się z owych siedmiu czy dziewięciu skrzyń, czy z za owych siedmiu czy dziewięciu drzwi i uciekła do lasu na Kralową Holę, a tam „zaciętą jest w topolę”.

Towarzysze szczęśliwie po śmierci wodza marnie. Pochwymano ich i stępiono; jednych w więzieniu, drugich na szubienicy. Najgorszą—jak opowiadają—miał śmierć Jakób Surovec, który posiadał własnej roboty strzelbę o dwóch lufach a jednym kurku w pośrodku (coś w rodzaju garłacza Ko-

newki z „Pana Tadeusza”), wbito go bowiem na pal.

---

Takie są opowieści o Janosiku („o Janosikowi”) z paru jeszcze szczegółami jego życia, świadczącymi o straszliwej sile i niesłychanej odwadze tego zbójeckiego hetmana. Obrabowawszy kasę cesarską, dźwiga on skałę i podpira ją plecami tak długo, aż wóz, naładowany złotem, przejechał; zastępuje sam jeden całemu pocztowi jakiegoś barona Revaya na drodze etc. Jeżeli Janosik słowacki ma swój wspaniały, iście królewski tron w pamięci ludzkiej na Kralowej Holi—Janosika polskich Górali unieśmiertelniona jest pamięć w najbardziej uroczej i romantycznej dolinie Tatr, w Kościeliskach, gdzie są „okna zbójeckie” i „stoły”. Tam to w pieczarze jest „mundur” albo „zbroja” na dwunastu Janosikowych towarzyszy, a bronią wejścia flinty tak zaprawione, że ktoby wejść chciał, szarpnie sznurki, przyczepione do cynglów, i sam do siebie strzeli. Tam Janosik przy stołach zbójeckich jadał, stamtąd przez okna zbójeckie pozieirał. Starzy chłopci z dumą to pokazywali.

Legenda o Janosiku jest uboga wogóle, w szczególności skąpa, mało zajmująca i nadzwyczaj dziecinna i pierwotna, ma jednak Janosik w sobie wszystkie warunki na bohatera heroicznego eposu. Potrzebne epopei tło daje ucisk panów węgierskich i odpór ludu słowackiego, potrzebny epopei kraj—obraz dają Tatry, doliny i góry słowackie i nowo-



tarskie. Trzeba je sobie jednak tak wyobrazić, jak one były wówczas, w XVIII wieku. Odwieczne, pierwotne, wiekuiste bory, olbrzymie gęstwy i przepadle puszcze, przerażające grozą i niedostępne, pełne straszego zwierza, wśród których kryją się tu i owdzie miasteczka i wsie (dziedziny); świecą polany, pełne dźwięku spiżowych dzwonków u szyi owiec i bydła, pełne śpiewów, hukania i brzęku kobzy i trąbit pasterskich. W tych borach i na tych polanach przesuwają się i gnieździ zbrojna Janosikowa banda, błyszcząca od stali i mosiądzu, huczna, wesola i drapieżna, stado wilków tatrzańskich czy gromada jastrzębi, na której czele spada na zamki i drogi węgierskie mściciel za krzywdy swego ludu, zbój z konieczności, a bohater wyobraźni ludowej z urodzenia, z przyrodzonych przymiotów, najsilniejszy, najzręczniejszy, najmężniejszy, niezawodnie także i najpiękniejszy między społecznymi. Achilles z ciała, Hektor z duszy. Niezawodnie walczy on bez nadziei zwycięstwa, poprostu dlatego, że nie walczyć nie może — jest na to za szlachetny i za potężny. Tragiczna śmierć, podobnie jak Achillesowi, musi mu stać przed oczyma: tamten idzie ku niej dla chwały, ten dla pełnienia obowiązku. I jakież to słowiański bohater! Słowianie, więc naturalnie jacyś niewolnicy swojej czy obcej tyranji — i ten jeden pośród nich, ważący wszystko dla obrony swego ludu i ulegający przemocy. Odwieczna historia Słowian, odwieczna historia słowiańskich bohaterów.

### JANOSIK W PIEŚNI

Ani słowacka, ani polska góralska poezja ludowa nie zdobyła się na żaden rapsod, na żadną bodaj pieśń o Janosiku. Po stronie słowackiej poeci Zaborsky i Botta opisywali Janosikową śmierć, ale te rzeczy nie mają większej poetyckiej wartości i, jak np. Zaborsky'ego, są raczej tylko suchem opowiadaniem faktu z poetycznymi szczegółami: Zaborsky trzymał rzecz w stylu serbskich rapsodów heroicznych, nierymowanym dziesięciozłoskowym wierszem, Botta wziął formę pokrewnego polskiemu rymowanego dwunastozłoskowego dwuwiersza.

W zrozumiałem prawie zupełnie narzeczu słowackiem przytoczę fragment z poematu Jana Botty.

Hori ohnik, hori na Kráľovej Holi.  
Ktože ho nakládol? — dvanásti sokoli.  
Dvanásti sokoli, sokolovia bieli,  
jakých ľudské oči viacej nevidely!  
Dvanásti sokoli, sokolovia Tatier,  
jakoby jich bola mala jedna mater;  
jedna mater mala v mlieku kúpavala

zlatým povojníčkom hola povijala.  
 To sa chlapci, to sa jak oltárne sviece,  
 keď idú po háji, celý sa trbliece.  
 Košiel'ky zelené, striebrom obrúbené,  
 klobúčiky obité, orlom podperené;  
 valaška, karabin a pištoľiek dvoje:  
 to sa chlapci, to sa potešene mojel —  
 Keď vatra rozložia na hronskom pohori:  
 v dvanástich stoliciah biely deň zazori...

. . . . .

Tie slovenské hory, to ich rodné dvory,  
 Tie karpatské hole, to ich voľné pole.  
 A na tom Kriváni zámok murovaný:  
 To sú chlapci, to sú šabl'ou opásaní. —  
 A ten ich kapitán, to je len veľký pán!  
 Pierečko belavé, červenú dolomán.  
 Keď ide po lese, celý svet trusie.  
 Pierečko trusové nad horou sa belie:  
 Klonte sa chalupy, traste sa kaštiele!  
 Bo kohos' Jánošík na paloš načara,  
 Tomu nespomôžu ani tria cisára;  
 A komu odpiše listoček trirohý,  
 Tomu nespomôžu múry do oblohy.  
 Raz Janík zapiskne: z dvanásť pušiek bliskne;  
 Druhýraz zapiskne: sabličky zazvonia,  
 Zahuči Považia, zahuči Pohronia —  
 A ohlas zaletí v štyri sveta strany:  
 Ktože tým pod sincom voľ'ačo zabráni?...  
 Zahučaly hory, zahučaly doly,  
 A chlapci zanôť'a: „Boly časy, boly!  
 Boly časy, boly, ale sa minuly,  
 A po malej chvíli minieme sa i my!  
 Keď sa my minieme, minie sa krajina,  
 Jako by odpadol liršt'ok z rozmarina;

Ked' sa my minieme, minie celý svet,  
Jako by odpadol z cervenej ruže kvet".

W ludowych pieśniach słowackich i góralskich Janosik powtarza się często, lecz są to krótkie inwokacje i apostrofy; na przykład:

Janošík, Janosik, kde tvoja valaška?  
V Klenovci u kata, do buka zatatá  
Janošík, Janošík, kde je tvoj palošík?  
Tam w hore na hore, zatatý w javorel

Co odpowiada polskiemu:

Janosik, Janosik, kaś podział pałosik?  
W Lewocy na murze, na jedbownym snurze.  
Janosku, Janosku, kaś podział wałasku?  
W Lewocy u kata w jaworze zaciatal

albo:

Janosik, Janosik, kaś podział pałosik?  
W Kosycach na bramie, tam wisi na ścianie.

Na Špižu śpiewają:

Jus w Liptovje vezvunajum (dzwonią),  
ej, Janošika lapać majum, Boze muj!  
Jus go vjedum przez ulice,  
placum, kržicum trží džifcunce, ehaja!

„Janču, Janču, serco mojel  
co tu patržiš, fsitko tvoje, Boze muj!  
„Na tím virsku šubeňica, ehaja,  
co jo bedim na ňij vipol, čuhaja;

Kebe jo bel o tem vjedžol,  
ze jo bedim na ňij vičol, Boze muj,

dol bef jo jum omurovač, ehaja,  
 zlotim, šriblim ovakuvač, čuhaja,  
 a na virsik zloti kržizik, Boze muj,  
 a na virsik zloti viñec,  
 zebe znal, ze mlodiñec, Boze muj,  
 a na viñec zloti kuñik,  
 zeby znali, ze jo zbujañk.“

### Przypomina to często przez Sabałę śpiewywane:

Na wysokim wirsku krzesom siubienicki —  
 Wtoz hań budzie wisiał? Jano z Brzezawicki.  
 Ej kieby jo wiedział na wtorej byk wisieć miał  
 od wirsku do dołu pozwybijać byk ju dał,  
     ei od dołu talarami,  
     a do wirsku dukotami,  
     a na wirsku złotu kawku,  
     hań polozem moju gławku...

### Inna pieśń ze Špiža:

A co se tam stalo w l'iptofskiej stol'ici?  
 Ulapil'i Janošika prži milěj f pivnłci.

Jak go ulapili, tak go povjunzali,  
 tak go zaros do Ružnavi otsikuvac dali.

„Ružnafske panovje, pitum vos pirsı ros.  
 dajćeze mi muj valasek do runckı jesce ros.“

„Vera či ñedume, bo se obovume,  
 bo me čebje, Janošiku, teros v runckaf“ mume...

„Ružnafske panovje, pitum vos drugi ros,  
 dajćeze mi muj pasecek oposač jesce ros.“

„Vera či ñedume, bo še obovume,  
 bo me čebje, Janosiku, teros v runckaf mume.“

„Ružnafske panovje, pľtom vos trzeci ros,  
dajčeze mľ mojum milum oblapiľ jesce ros.“

### **U nas na Podhalu śpiewają:**

Jedzie furmon, jedzie furmon  
hore (wgóre) dolinom,  
a Janosik, a Janosik  
brzezinom.

„A ty furmon, a ty furmon  
konie wypinoj, konie wypinoj!“  
„Kieś ty taki pon, kieś ty taki pon,  
wypnij se lk som, wypnij se lk som!“ —

co znów ma odpowiednią na Śpiżu w pewnej odmianie:

Jedże furman dolinom, dolinom,  
a zbujnici brzezinom, brzezinom.  
„Hop, stoj furman, ňejehoj, ňejehoj,  
steri koňe vyprengoj, vyprengoj!“  
„I vyprengoj sobje som, sobje som,  
jo ňe sluha, teś ňe pon, teś ňe pon.  
Kebe belo na roli, na roli,  
ňedal beľ se po voli, po voli,  
aie ze je v doline, v doline,  
tam zbujnici v tambore, v tambore.“

Jako Janosikową pieśń śpiewał mi Stodyczka  
Jędrzej z Zubsuchego następujący fragment:

„Za Tatry, chłopcy, za Tatry.  
Jest hań zamek bohaty,  
Zabierajcie na się zbroję,  
Nie dajcie się, dzieci moje.“ —

co ma mnóstwo warjantów, naprzykład:

jest hań zamek bogaty,  
ej sto Bohów do niehol  
ej podźmy se na niehol"

albo:

„som hań w zamku dukoty,  
ej kieby sie nam nań ośmielić,  
ej byłoby sie hań s cym podzielić."

Jest jeszcze parę urywków, zdaje się, z dłuż-  
szych zatraconych pieśni:

Hej, z Plesińskiej bramy poźlérąjom pany,  
Jako sie Janosik wałaskami broni.  
Hej, z Plesińskiej bramy poźlérąjom pany,  
Co Janosik robi pod siubienicami..

Wysławia go dwuwiersz:

Janickowie imie chodzi po dziedzinie,  
Janosik zaginon, Imie nie zaginie —

a naprawdę jedynie piękną, odnoszącą się do Ja-  
nosika śpiewanką jest ta:

Jęcom Tatry jęcom, Janosika męcom,  
Barzej jęceć budom, kie go wisać pudom...

Z towarzyszków Janosikowych, po polskiej przy-  
najmniej stronie, jeden jest tylko wspominany, Su-  
rowiec, choć być może, że był to jakiś inny zbój-  
nik tego samego imienia; piosenka, dziś już prawie  
zapomniana, brzmi: „Surowiec, Surowiec, kielos  
wyzor owiec?"

## ZBÓJNICY

Owe orle pióra za kapeluszem, owe ciupagi cyfrowane z brzęczącemi kołeczkami u blachy na toporzyskach, owe pasy, wybijane mosiądzem, szerokie po pazuchę, z tkwiącemi w nich pistoletami i nożami, owe kobzy i gęśle, grające im na polanach, owe czyny nadprzyrodzonej siły, odwagi i zręczności i owa fantazja okrutna, straszna, ale nad wyraz junacza — oblały jakimś połączanym obłokiem schodzącą w głąb zapomnienia pamięć opryszków góralskich. Męstwo, śmiałość, pogarda życia, awanturniczość zawsze będą tem, co największy urok tworzy w mężczyźnie; nie pamięta się o tem, że zbójnik kradł — pamięta się, że szedł po to przez góry i lasy; darowuje mu się, że mordował — bo sam sobie niewiele robił ze śmierci.

Abó mnie zabijom, abó mie powiesom,  
Abó mie ptoškowle po wirskak ozniesom!

Zbójectwo zresztą, jak rycerskie rzemiosło szlachcie, wyrabiało w Góralach pewne przymioty,



nadawało pewne cechy rasowe, nieporównanej piękności. Kto widział nieboszczyka Jaśka Nowobilskiego, ten stanąć musiał zapatrzony—przecie ten chłop rzeczywiście wyglądał jak orzeł. I ilu ich się znało, ilu się ich płacze starców po świecie, każdy ma w sobie coś z drapieżnego ptaka, a wiadomo, że to są najpiękniejsze z ptaków.

A przytem ta najpierwotniejsza, nieporównana, zatracona na zawsze i nie do spotkania nigdzie naiwność najdzikszych pojęć!

— Bogu ta o zbójectwo nie markotno — mówił Sabala — ino kiebyś sie ś Nim podzielił, a dawał mu na okwiare nie na ostatku, ale wse z końca (zawsze z początku, t. j. przedewszystkiem).

Zbójnicy też pamiętają o Panu Bogu do tego stopnia, że jak tradycja mówi, kościół Św. Anny w Nowym Targu miał powstać z ich fundacji, co nie przeszkadzało, że sprowadzeni i osadzeni w sąsiedztwie w Ludzimierzu w XIII w. przez wojewodę Iwona Cedrę cystersi wskutek napadów zbójczych wynieść się do Szczyrzyca musieli, gdzie też dotychczas rezydują. Być może, iż z obrabowanego klasztoru byliby zbójnicy część łupów „z końca” do kościoła „okwiarowali.”\*)

Zbójnicy, którzy w XVII i XVIII wieku doszli do szczytu swego, jeżeli można tak powiedzieć, rozkwitu, już w początkach XIX zaczynają się „koń-

---

\*) Podobno obraz w oltarzu kościoła nowotarskiego ma być także darem zbójczym, na Węgrzech złupionym.

czyć," a obecnie już na palcach jednej ręki można by policzyć żyjących jeszcze starców, którzy z młodu „za bucki skakali." Już Goszczyński, zwiedzający Tatry w 1832 roku, znalazł zbójnictwo na wymiarciu. W każdym razie znał on jeszcze i widział prawdziwych i czynnych zbójników. Oto co o nich mówi: „Zbójnik odznacza się zwykle okazałą postawą, niepospolitą siłą, zadziwiającą zręcznością w rzucaniu toporkiem, szybkością w biegu, gibkością w tańcu i tym podobnemi zaletami fizycznymi... jako człowiek, odważny na wszelkie niebezpieczeństwa, obojętny na śmierć, wróg wszelkiej uległości..."

„...Duch naszych Górali — pisze dalej — wydaje mi się być w pewnem pokrewieństwie z arabskim; nie mogą mieć Farysów, przestają na zbójnikach. Położenie ich nie pozwala im zamienić się w horde Bедуinów, lecz z drugiej strony położenie to robi niekiedy Górala zbójem."

Jeżeli do „wyskakiwania za bucki" przymuszała niechęć do służby wojskowej za czasów nastania rządów austriackich, służby, z której się często do końca życia nie wracało, obawa przed karą za jakieś przestępstwo, rozwydrzenie się na hali podczas lata lub przeniewierzenie powierzonego bacy i juhasom dobytku, wreszcie bieda i potrzeba kradzieży, poprostu, aby żyć („Hodzilimé w Luptów cyby ka jakik dudków nie przynieść tamstela, bo roki bęły strasznie złe, ludzie się jus i warmuzu hy-

tali — opowiadał Sabala\*) — to przedewszystkiem pchały do zbójnictwa Górali ich przyrodzony temperament i warunki, w jakich żyli. Można by powiedzieć, że zbójnicy rekrutowali się w trojaki sposób: z tych, którzy uciec w góry z takich lub innych powodów musieli, z poszczególnych amatorów tego rzemiosła i z tych, którzy się już rozdzielili zbójnikami. Rozbójnictwo w znacznej części szło rodami, i znakomite to w swoim sensie bywały familje. Nowobilskich sołtysów z Białki już w XIV wieku honornie na szubienicy wieszają, a grasują oni aż na Śląsku, i to jest wogóle pierwsza rodzina na Podhalu, największe mająca niegdyś posiadłości (w samych Tatrach mieli hale w Pięciu Stawach, w Białej Wodzie pod Wysoką, za Mnichem nad Morskiem Okiem, pod Wołoszynem etc.), zaszczycona wielu przywilejami i nadaniami przez królów polskich (Jana Kazimierza, Michała Wiśniowieckiego). Byli Matejowie zdawien dawną zbójnicy z Kościelisk, ich krewni Mocarni i Gadeje.

W Zakopanem jakiejs specjalnie zbójectwu oddającej się rodziny nie umiem wymienić; wiadomo jednak, że Zakopianie byli wogóle do „zbijania“

---

\*) „Chodziłiśmy do Liptowa, czyby gdzie jakich pientędzy nie przynieść stamtąd, bo lata były strasznie złe, ludźle się już warmuzu chwytyali.“ Warmuz była to siekanina z różnych zielsk, zarobiona odrobiną maki albo ziemniaków i posolona, o ile kto sól miał. Makę mleli z perzu (pérnicy) i sieczki owslanej. Głodowe lata trwały dłuższy czas na Podhalu w pierwszej połowie zeszłego wieku.

nader skorzy i słynni pośród sąsiadów. Kapitałne à propos Zakopian i Kościeliszczanów jest zdanie jakiegoś chłopca z Czarnego Dunajca, które ten przed którymś z księży z Podhala wyraził, a które nieboszczyk profesor Wrześniowski zanotował: „Jakże wy ta jegomość pomiędzy temi zbójnikami wytrzymacie, jedno noga tu, a druga tam, a ciupaga zaś hań, a fajki z pyska nie popuści, a ocy mu zaś na śrubie hodzom”—co miało malować zawadjacki wygląd i nie budzący zaufania charakter Podhalanów.

„W rzeczy samej—pisze ś. p. profesor Wrześniowski—sąsiedzi nie zapomnieli tych błogich czasów, kiedy Podhalanie „radzi z za bucka dzień dobry mawiali”. Kilka lat temu towarzystwo przyjezdnych z Warszawy gości na zakopiańskich wózkach i z zakopiańskimi przewodnikami co najswarniejszymi wybrało się do Podzamków na Orawie. Dojechawszy do karczmy, chcieli się nieco posilić, a bardziej noc pod dachem przepędzić. Po długich nawoływaniach Żyd karczmarz wstał i świeczkę zapalił, nie śpiesząc się wszakże z otwieraniem drzwi, bo w górach nocni goście zawsze wątpliwi. Jeden z Górali, należących do towarzystwa, człowiek w wieku i nadzwyczaj stateczny, chcąc skłonić karczmarza do większego pośpiechu, zapukał w okno. Żyd otworzył lufcik i głowę przezeń wysadził, a Góral celem zupełnego uspokojenia go rzekł:—„Wartko tys odpiérajcie, bo to goście ze Zakopanego”.—Na takie „dictum acerbum” Żyd scho-

wał głowę, zatrzasnął lufcik i świecę co prędzej zgasił oraz pozostał głuchym na wszelkie wezwania."

Dziś zapatrywanie Górali na zbójectwo jest dwojakie: jedni się go wstydzą i mówią o niem niechętnie albo ze względu na swoją pobożność, albo z uwagi, że nie wypada majątnemu gaǳdzie, jakiemuś radnemu gminnemu czy przedsiębiorcy przemysłowemu inaczej, jak ze wzgardliwą niechęcią na podobny proceder się zapatrywać; inni mają dlań mniej albo więcej wyraźną dawną tradycyjną sympatję, admirację—i gdyby się byli pierwsi porodzili, byłiby niechybnie za bucki poszli. Wszyscy oni stosunkowo młodo pomarli, ale czyż dobrzy znajomi dawniejszych gości zakopiańskich, nieboszczykowie Wojtek Giewont, Józek Roj, Jędrrek i Józek Pęksowie, Kuba Jędrasiów—nie byłiby to zawołani zbójnicy, gdyby byli nie przyszli „trop tard dans un monde trop vieux”. I tak, czego mogli w niestosownej porze dokonać—dokonali...

„Zbójectwo między Górali jest uważane jako rodzaj rycerskiej szkoły—obserwuje Goszczyński—tak dawniej było potrzebą moralną dla Ukraińca przehulać część swego życia na Zaporozżu.” Admiracja otaczała zbójnictwo, „bo hań zbójnikie bodas w to nie ostał, o nie. Dziada\*) odścigali hent, ani się dziad ku zbójctwu nie brał. Na zbójnika trza bęło, coby bęł hłop, nie babrac”... Za dawnych

\*) Dziada—niedołęga.

lat zbójnikowanie było rodzajem patentu na Podhalu. Nie wójtowie, nie radni gminni, ale „dobrzy chłopcy” rej w dziedzinach wodzili. Oni też mieli przed innymi szczęście do kobiet i do dziś się zachowała stara piosenka dziewczęca:

W moim ogródecku majeranek bujny,  
Niech ku mnie nie hodzi ino zbójnik siumny...

Zbójnik był bohaterem swojej okolicy, on nadawał ton, on tworzył mody, na jego śpiewano i tańczono nutę (do dziś jest nazwa nuty Matejowej). Do jakiego stopnia sława i chwała zbrojnika zawracała w głowie, świadczy powszechnie dawniej znany fakt, wielce ciekawy i oryginalny, przytaczany także i u Goszczyńskiego, o sietniakowatym, to jest nieurodzivym chłopie, który symulacyjnie przez trzy dni zbójectwu się oddawał. Goszczyński śnać jeszcze znał owego chłopca, pisze o nim bowiem: „jest to postać zupełnie upośledzona od natury, mały, pękaty, z nogami koślawemi, z ogromną głową...” Owóż ten człowiek zapragnął także sławy zbójnika i nie tail się z tem przed swoimi, że postanowił pójść w góry na „zbój”. Śledzono go więc, głównie przez ciekawość, co to będzie. Ubrał się tedy i uzbroił we wszystkie przybory zbójcy; w rękę—wałaszka, przez plecy—dwie strzelby, za pasem—nóż i pistolety, w torbie—żywność na dni kilka. Tak zaopatrzony poszedł w góry swojej wsi, w ustronie dzikie, gdzie nikt prawie nie przecho-

dził, łatwo wyszukał miejsca, jakiego mu było potrzeba, skały i powalone drzewa. Siada więc za niemi, jak w zasadzce, przyczaja się, szpieguje okiem i uchem na wszystkie strony, postrzega niby przechodzącego, zmierza rusznicę, wystrzelił niby, wypada z zasadzki, macha na wszystkie strony wałaszka, wraca pędem na swoje miejsce, znowu przysiada, podskakuje, niby strzela, niby rąbie, to goni, to ucieka, dopóki nie poczuł znużenia i głodu. To samo powtarza przez całe trzy dni; po trzech dniach wraca do wsi z twarzą zadowoloną, z postawą hardą, w przekonaniu, że ma prawo do imienia i sławy zbójnika...

Kto widział nieboszczyka Jaśka Nowobilskiego, śpiewającego przed muzyką owo klasyczne:

„Jo se pijem dwa dni, jo se pijem trzy dni,  
jo sie o piniondze nie turbujem nigdy!”

ten mógł odtworzyć sobie, czem dla takiego chłopca było życie. Było to jedno śmiałe, wichrowe kroczenie przez świat bez względu na nikogo i cokolwiek, życie, w którym to tylko było wagą „kielo hłop stał”, t. j. czego potrafił i zdolny był dokonać. Jakże bajecznie powiedział o sobie ten zbójnik:

„Powiadali, powładali  
Ze zbójnika porubali,  
Porubali bucka w leste,  
A zbójnika wiatier niesiel...”

Zbójnik gardził domem i domowem życiem.

„Hejże ino, ino jedź,  
Bo jo lepsy, jako kmięć;  
A u kmięcia dzieci som,  
A jo chłopiec ino som!”—

śpiewywał Nowobilski „do drobnego”.

To złodziejstwo było piękne przez niesłychaną pozzę krajobrazu i warunków, wśród których złodzieje żyli.

Cóż to za bajeczny zupełnie moment poezji ten Wojtek Mateja, kryjący się przed pościgiem śmiertelnym na hali, zabierający z sobą ze szalasu, gdzieś na polankę śródleśną, dwunastoletniego wówczas bębna, Bartka Obrochtę, i każącego mu sobie grać na gęślach. „Mateja lóg ka do słonka, a jo mu musiał grać. Abo wbiel c upagę w ziem, jo grał, a on sie nosiël dookoła nij.” Wyobraźmy sobie, jaka to była wówczas puszcza odwieczna Tatry, usłyszymy gdzie zdaleka brzęczenie gęśli dzikie, monotonne i smutne, jak stare góralskie nuty były,\*) i podpatrzmy gdzie z pomiędzy gałęzi na polance, słońcem zalanej, małe chłopię góralskie o długich, jasnych, spadających na czoło włosach, grające na skrzypcach, a obok leżącego olbrzymiego chłopca, świecącego od mosiądzu, albo „noszącego się” do-

---

\*) „Storodawne nuty w złoto owinać”—mówi stary skrzypek Krzys.



okoła ciupagi tańcem, który musiał być podobny do podrywania się orła do lotu.

Zbójnicy kochali się w muzyce. W jednej bandzie, jak opowiada stary Wojtek Topór z Hrube-  
go, aż trzy kobzy mieli. „Kie śli ka z przełęcz ku  
sałasom w dolinie, to jaze gielcało po wihrak”.

W owych przerażająco dzikich, groźnych, po-  
nurych a porywczych i szerokich melodjach, któ-  
re Sabala na swoich „żłóbcokak” wygrywał, mu-  
siały „giełceć” te kobzy i wszystko to granie, któ-  
re on za swej młodości słyszał—a także wszystko  
to, co pamiętał.

„...Ej Sabala zaśpiewał, ej Krzywań mu odpedział,

— Ej bo o jego sprawie nik iny niewiedział...”

A były to sprawy homeryckie, pełne ognia, krwi  
w żyłach, a nieraz krwi na smreckach „oskicnię-  
tej”.

Zbójnicy byli „towarzystwem” silnie związanem  
i zaprzysiężonem między sobą, „jeden za drugiego  
daiby sie bół na drobne kąsecki porombać.” Mieli  
oni swoje znaki porozumienia, swoją gwarę, swoje  
obyczaje, pojęcia i obowiązki. Mieli swoje melodie,  
które grali, gdy na wyprawę mieli ruszać, a kiedy  
herszt czyli harnaś posłał po kogo ze swojej ban-  
dy, musiał iść. W nocy zapukał ktoś do okna,  
„zburzył na oknie”—zbójnik się zbierał czem prędzej  
i szedł: „musiał iść, zaprzisiengany bół”.

„Zbójnike bodaś wto nie bół. Dziada odści-

gali hnet"—kto też miał być przyjęty do bandy, musiał próby przechodzić.

Że herszt, podobnie jak król grecki u Homera, był najtęższym i najdzielniejszym we wszystkim pośród swoich, najczęściej więc z hersztem odbywały się próby. Były to wyścigi, zapasy („iść za pasy”), skoki, strzelanie do celu, rzucanie toporkiem i obcinanie gałęzi i t. p. Janosik tych prób nie przechodził, bo tylko machnął na ziemię Uhorczykiem, hersztem bandy, którą później sam dowodził, zaraz poznali, kto jest. I w tem było niebezpieczeństwo dla herszta, bo jeżeli kandydat okazał się lepszym od niego samego, albo dawnego dowódcę rzucano, a nowego obwoływano nim, albo się banda „ozruwała i z jednej dwie bëiy”, czasem wrogo przeciw sobie występujące i napadające się nawet wzajemnie.

Kiedy zaś kandydat próby szczęśliwie odbył i uznany był za godnego „przystać ku wesółm”, „ku dobrym całopcom”, następowało zaprzysiężenie. Herszt wyjmował pistolet z za pasa, podsypywał świeżego prochu na panewkę, kurek odwodził, kładł pistolet na pniaku i mówił mniej więcej w ten sposób:—„Ty... taki a taki... przed tym pistolcem musis przisiengę słozyć zbójeckom na wierność andruskom. Mos wiedzieć, że jakbyś nos miał chęć przezradzić, wydać przed kim nos albo nase tajemnice i co ka ukwalimé, tyn pistolec som ci przytyj przisiendze do piersi strzeli. Klęknij na jedno

kolano przed nim i z obidwok ręcy serdeczne palce słóz na krziz".

Wtedy wszyscy zbójnicy podnosili ciupagi do góry i krzyżowali je nad głową przysięgającego, w drugich rękach zaś podnosili wysoko kapelusze i mówili:—„Pri sam Bohu!" (Na samego Boga).—„Pri sam Bohu"—powtarzał nowy zbójnik i był już „ich".

Zbójnik otrzymywał swoje „miano", jak naprzykład, owa słynna zbójniczka Maryna z Za Sichły, którą nazwano „Jano", że była ospowata—(pokił) „pokaty Jano," a że była dziewczką—także „cyco-rzasty Jano."

Zbójnicy podhalańscy zabijali rzadko, ale mężczyli strasznie... Gdy się kto przyznać nie chciał, gdzie miał pieniądze, mieli oni „sposób," że wieszali za nogi u powały napadniętego domu, skwarzili sadło i wrzące lali na gołe ciało. Żydów lubili przybijać za pejsy do drzwi karczem. O tem, żeby podpalali wsie lub pojedyncze domy, nie słychać, ale karczmy podpalać musieli, bo istnieje śpiewanka herszta:

„Hłopcy moł, hłopcy, kleście jus skończył,  
mozebyście se karcmom fajki zakurzili..."

Łupem dzielili się w ten sposób, że dwie części brał herszt, a resztę w równych częściach—jego towarzysze. Pieniądze, o ile ich nie zabrano ze sobą, zakopywano najczęściej pod drzewem jakim, i stąd są owe śpiewanki:

„Od bucka do bucka Jaze do Jawora,  
hań nase piéniażki, hań nase kómora”

Albo:

„Jaworu, jaworu, coś taki p: katy?  
Cy cie ospucyły zbójeckie dukaty?”

Pod drzewem nieraz był wymurowany dołek, a drzewo dało się podźwignąć z nadeń i znowu po wsypaniu pieniędzy postawić. Osobliwszy był zwyczaj przy zaklinaniu skarbu, aby go nikt nie znalazł. Herszt opuszczał spodnie i nago przysiadł trzy razy miejsce zakopania, mówiąc:—„Nik cie nie otworzi, pokieli cie samo tak nie odpiecentuje, ani nicego tchnonć nie śmi, ino my sydzka wroz, co my cie przynieśli i sowali”.

Przysięgi pilnowali się zbójnicy bardzo, i rzadko słyhać, żeby kto z „towarzyszy” innych pokryjomie ograbił. Wydobyć skarbu mogło się odbyć tylko za wspólną zgodą wszystkich, a głównie herszta, któremu przysięgano „wierność i posłuszeństwo jaze do samej subienice.”

Wiele też pieniędzy, nigdy już przez zbójników niedobytych, bo ich wpierv wyłapano lub wyzabijano, zostało w górach i „gnije”, a więcej jeszcze „gnije” ich w wyobraźni górali. Istotnie jednak znajdowano zbójeckie skarby i są dziś jeszcze „hrubi gazdowie”, o których się tajemniczo mówi, że się zbójeckimi pieniędzmi znalezionymi z bogacili.

Jeżeli zbójnicy polscy cieszyli się wielką popu-

larnością w swoich stronach, a taką sympatią u dziewcząt, że śpiewywały:

„Jaworu, jaworu, syrokiego liścia,  
dejże Panie Boże zbójnikowi szczęścia!”

to zato nienawiść ku nim na Orawie i Liptowie, gdzie „zbijali”, była, zresztą słusznie zupełnie, szaloną. Kiedy prowadzili — jak opowiadają — przez wsie orawskie jednego z „wielkich” zbójników podhalańskich, schwytanego na rabunku, aby go oddać pod sąd, każdemu we wsi było go wolno trzy razy uderzyć jedną z lasek, które, związane po dziesięć razem, nieśli przed nim bandurzy, a kto nie uderzył, bo go, na przykład, w tej chwili we wsi nie było, ten leciał do rychtara (wójta) i meldował się, a za otrzymaniem odpowiedniego znaku, gonił bandurów ze zbójnikiem, znowu się „meldował” i otrzymywał upoważnienie do bicia we wsi, gdzie się zatrzymano. To też zbójnika tego, do krwawej masy podobnego, ledwie przy życiu doprowadzono do Orawskiego zamku (Jaśkę Kulę Wałowego z Kościelisk).

Życie zbójcekie dzieliło się na dwie połowy: porę letnią, „kiedy mu grało”, i porę zimową, o której śpiewano:

„Na zielonym bucku lištecki blelejom —  
Ka sie dobrzy hłopcy bez zime podziejom?...”

Zimowa pora była dla zbójnika złą. Do wsi swojej, skąd pochodził, często zejść nie mógł, bo lękał

się wójta, hajduków czy później żandarmów, czasem też nie było i ku czemu, gdy był biedny, nie każdy zaś, jak ów olbrzymi Gałajda (w Białej Wodzie) lub Tatar Myśliwiec, potrafił zimę w górach przetrwać. Szli więc zbójnicy na zimowisko", aby z pierwszym cieplejszym dniem znów się na naznaczonym miejscu zebrać i na wyprawę ruszyć. (Jeden ze zbójników, zimujący się gdzieś koło Witowa czy we Witowie, gdy tylko wiosna nadejść miała, „syćko ku Magórze Orawskiej pozięrał, a ino hań dym uwidział, zaros poseł i jus go nie bęło”.

Zimowisko przepędzali w różny sposób: czasem utrzymywali się ze swoich pieniędzy, czasem żyli przemyśłem, bo to były wogóle „hłopy grzeczne i mądre i hojco (chodź co) taki sprawiël i umiał”. czasem najmowali się za parobków.

Opowiadał Sabała o jednym:

„Niek cie Bóg broni takiemu pahołkowi co na despet zwyrządzać (na złość zrobić). Dałbyjse! (Dałbyś sobie). Hej! Tynby ci podziękował, coby ci trzonowe zęby drugie wyrosły!

„Przystał ros—prosem piéknie—jeden taki zbójnik do Folfosa we Witowie za parobka.

„Jele ze to jakiś leń!—myślał Folfos.—Lezy ino na piecu, a robić, pytoj Boze, nie kce nic!

„Folfos bęł hruby gazda, ale sobie myśli: „Hej, kie ty nic, to i jo nic. Ta lez! Ba!”

„Nie dawał ino bryje owsianom—rzeke:—„Ta sie rusysl” — Ale on nic, ten zbójnik, na piecu lezy, a owsianom bryje jé; nie rusyl sie.

„No i dobrze nie bardzo, przista wiesna, rusy sie. Jednego dnia nima pahołka.

„Folfos sie ta nie gniéwał, bo nie béło o co. Wzion i orał w Bieskidzie od Orawy tłok (ugór) trójką byckami.

„Jaze przihodzi ku niemu ten parobek, w rzecy zbójnik, i gwarzy:—„Gazdo, to wom źle idziel Bycki wyprząc i puścić na pase na młake (moczary), hej, a pude jo sprógowuć.

„I poseł. Wzion za kluc w kolcak i orali. Jeden zagon, drugi! El Przy trzecim stracił Folfos i copke, ale nie béło jěj casu wziąć z pod skiby.

„Hej! Siem skaranie! Wtej sie Folfos domyślił dobrze, kogo karmił jałowom bryjom bez zime. Ale jus béło nieskoro.

„Poseł pahołek, co za trzi bycki orał, w las, ku Orawie.

„E, przišli w prawe polednie. Zabrali do imentu, co ka béło, a samego Folfosa łapili i zlali mu wrzącym sadle goły brzuk. Ino mu tak pedział tyn zbójnik, co za pahołka służył, kie odhodził:—„Owce mos, rznij! A owijoj sie skórami, to sie wygois. To za twojom bryjel

Zbójnicy ta, prosem pięknie, na syćko mieli sposób. O ba hej!...”

O innym opowiadał:

„Tyn zaś zasiod na Buńdówkak w Zokopanym pod regłami, na mrażnicy przy Samkowyk owcak. A przy nim sie tam obsiadła jego freirka, Zoślanka ze Zakopanego.

„Zbójnik bół hłop do wysdźkiego: mówił na książce, jak nic, a na gajdak grał co cud! I ludzie go mieli strasnie za co. Kościoły beły prec, toz to w niedziele shodzili się do niego na Buńdowki.

„Izba, prosem piéknie ik miłości, była wielgo, piec przykryli hustom i bóło. Zbójnik sie oblók w Zojscynom kosule, wzion książkę dół garzci i mówił na nij głośno pod piece, a ludzie za nim.

„Śpiéwali piosnecki i pieśni nabożne z książki, a kie sie jus to nabożeństwo skoncóło, haj, to jedli i pili.

„E! Bo hań nie dostompiół odpustu nik, jak nie prziniós gorzołki w zbonku, spyрки abo i masła kruzlika. Haj.

„Wiedzieli jus o tym wysdźka, to niesli, co wto miał, a śli.

„Kie sie jus najedli i napili, to zaś tończyli.

„Piérsy wse wyhodziół ze swojom Zoślankom zbójnik, a kie sie oni dość unosili, siod na ławę, brał dudy i grał, a ludzie tończyli.

„Nieroz, prosem piéknie, do wtorku to nabożeństwo dociągło. Haj. I niejeden gazda prziseł z tego odpustu tysy du domu. Bo on, tyn zbójnik, nie śpasował: jenoby mu hań bół wtóry do Zoślanki zyznon, brał za huncfuty za łeb i peu ś nim w pole, a włosy ostały w garzci.

„Tyn sie jus zoden nie wracał do izby wygwazzać, ino seł pomału do domu, a macał sie po łbie.

„Nie bóło poco, bo zbójnik zartów niémiał; ale hań gniewu nie bóło—na drugom niedziele prziseł.



„Toż to na wiesne odmierzał Zoślance płótna na spódnice w lesie od smreka do smreka. To był ryf!

„Tak się wej, prosem pięknie, zbójnicy zimowali hoćkie hoćkany, bo te były hłopy grzeczne i mądre i wse se wiedzieli poradzić, coby się jako biédzie nie dać, haj...”

Ze zbójnikami nie robiono wiele ceremonij. Dwór, na przykład, miał prawo złapanego zbójnika we dwadzieścia cztery godzin powiesić bez odnoszenia się do sądu, i u nas w Ludzimierzu był w piwnicy w murowanym śpichlerzu (widzialnym dobrze z kolei między Laskiem a Nowym Targiem, ale dziś już zwalonym) hak, w powałę wbity, na którym miano niegdyś zbójnika powiesić. Za śpichlerzem zaś zaraz był dół, zasypyany murem i cegłą, gdzie tego zbójnika kości miały być pochowane. Wolę jednak wierzyć, że na haku wieszano wagę na worki z ziemniakami, a w dole zagrzebano kości wściekłego psa. Sąd karał szubienicą. W Nowym Targu musiała być szubienica czy kilka, gdzieś od strony dawnej drogi do Zakopanego, albo też widziano od tej strony ku rynkowi i może tam wieszano, zachowała się bowiem śpiewanka:

Wiedom że mie wiedom Saflarskom ulicom,  
pewnie mie zawiedom ku tym słubienicom...

I zbójnik snąć dla odstrasającego przykładu musiał być pozostawiony jakiś czas na widoku publicznym, skoro śpiewano:

„Zbójnickem na haku wiatr porusuje,  
Zbójnicka freirka syćko poplakuje...”

W zbójniku łączył dawny Góral wszystko, co stanowiło najdoskonalsze przymioty człowieka, więc i nadprzyrodzonych mocy zdolność. Janosik, jak wiadomo, ma ciupagę, co sama rąbie, w pasie siłę za stu ludzi, koszulę, od której się kule odbijają. Kiedy do niego strzelają żołnierze, potrzebuje on tylko za pniak skoczyć i nogi skryć, a kule jak groch od koszuli odpadły. Potem ciupaga sama ich wycięła.

Zbójnicy mieli też dar przeczuć i jasnowidzeń. Ciekawą opowieść, nie podhalańską wprawdzie, ale pokrewną huculską, przytacza z tego zakresu Goszczyński.

„Jakiś dzierżawca wiejski—pisze on—ściągnął na siebie nienawiść jednego z hersztów, który z tejże wsi był rodem. Dzierżawca wie o tem, że zbójnik odgraża się na jego życie, aby się więc uwolnić od trwogi, bierze się na sposób: porozumiewa się z dwoma parobkami, obija ich różgami dla pozorów, aby uciekli niby wskutek tego pobicia, i następnie, przystawszy do bandy, zabili zdradziecko owego herszta, zwłaszcza, że rząd nałożył był cenę na jego głowę.

Parobcy przyjęci zostali do bandy i przez pół roku tak się sprawowali, że pozyskali zaufanie herszta i towarzyszy. Kiedy nakoniec postanowiono napaść na dzierżawcę, tak wypadło, że herszt wszystkich zbójników rozesłał i tylko ci właśnie

dwaj przy nim pozostali. Herszt począł sobie wróżyć z fasolek: po pierwszym rzuceniu zmarszczył się, po drugim zawołał:—„Żle!”—po trzecim rzekł do parobków:—„Chłopcy, tu stoi, że tej nocy jeden z nas zginie. Albo nas napadną, albo też który z was mnie zdradza?...”—Kiedy się odwrócił, obaj parobcy, nie czekając już dłużej, wypalili do niego ze strzelb ztyłu i zabili na miejscu.

Także z czarami leczniczymi i wogóle z „medycyną” obznajamiali się zbójnicy: trzeba było nieraz i siebie, i drugich goić. Jasiak Nowobilski na starość leczył ludzi na całą okolicę, a lekarstwa miał przedziwne, na przykład, na głuchotę: młode myszy, jeszcze nagie z gniazda, drobno posiekać, uskwarzyć ze sadłem, wetknąć głuchemu trąbkę z papieru w ucho i wrzące sadło z młodemi myszami wlać do ucha. Aby być nieczułym na ból, trzeba było „gacopierza” (nietoperza) w wodzie ugotować, tak, aby nie zawrzała, i gołe ciało posmarować.

Co do duszy i zbawienia zbójnika, mimo że Bogu o to miało być nie markotno, byle mu „okwiarę” dać i to „wse z końca” (z początku), a nie „na ostatek”, niektórzy mieli jednak pewne wątpliwości. I tak wiadomo, że jacyś dwaj zbójnicy chcieli się połupionych przez siebie skarbów pozbyć i pierwszemu napotkanemu chłopu, a było to przy piecu wapiennym w Kościeliskach, je dawali. Każdy niósł na plecach po pół centa (centnara) pieniędzy było tak:—„Kie sie z hłope stretneni, podajom mu:

„—Bóg ci pozegnał, som sie usczęśliwis, a nos zbawis. Naści te piéniondze”.—Ale hłopisko béło jakiesi głupie, toz to sie obował. Nie kciał.—„Wydocie mie, abo cosi kajsi”—pado—nie kciał brać. No i dobrze nie bardzo zbójnicy dali té dudki dyabłu. Dyabol mądry, toz to sie nie namysłował wielo — wzion. Ale hłopu zol béło, toz to pozierał pokryjomie za zbójnikami i widział jako ka z dyable radzili i jako mu te piéniondze dali i ka je dyasek sował. Lemze odešli, mój hłop hybaj na to miejsce, e, cos, kie jus ani piénien-dzy, ani dziury na nie nie nalos. Kiela ik ta pote po nim posukowało i ś n'm i samyk—kabyś ta?! Hłop włosy ze łba dar, jaze kciał smrecyński stawek spuścić, bo hań kasi miały te piéniondze sowane być, cyby ik na dnie nie najść jako? E, dał pokój! Bo ino ze trzi razy motykom pogrzyb, obezwało sie ze stowku: — „Przestań, bo jak spuścisz ten stow, to syćkie wsi jaze do morza zatopis.”—Dyasek ik ta wiedział wartować piénien-dzy, a hłopu po casie luto béło. Z dyable ta nic nie narobis, a ci zbójnicy dyabłu woleli piéniondze dać, jako ik na sumieniu dźwigać.”

Górale, sprytni i do oszustwa a podejścia zręczni i skorzy: w czym się lubują, to w opowiadaniu o przebiegłości zbrojeckiej. Wołu ukraść pod Muraniem, obuć w kierzce w przeciwną stronę na wszystkie cztery racie i wieść ku Zakopanemu tak, że się wolarzom zdawało po śladach na rosie, że dwóch chłopów od Polski ku nim szło, to rzeczywiście był pomysł w swoim rodzaju genialny.

W niesłuchanie sprytny sposób miał okraść Wojtek Mateja karczmę na Orawicach, wsi na granicy polsko-orawskiej. Opowiadał o tem nieraz i chętnie Sabła:

— „Béła, prosem pięknie, na Orawicak karcyma wielgo, haj, a w niej synkowału hrubaśna kacmorka, przistojno i cyrwono na gębie, ino ze hłopa miała nic pote. Siedział ta przy niej, bo siedział, ale ta i kulik przy płocie stoi, kieś go wbiół, haj. I no ze cujno wereda béła jak pies, i niwto hań po dudki do kumory nie seł. Nie béło poco, bo karcmorz strzóg.

„No i dobrze nie bardzo, co sie nie zrobiéło, zwiedział sie o nik Wojtek Mateja, toz to zahodził koło karcymy tédaj i owédaj, ale nie porada béło przistompić. Nijakim świata sie nie dało. Haj.

„Jaze sie Mateja ozpajedził i pado do towarzisy:— „Kizby to byli, ajby byli, siem dyasków zjadło, coby my hań dudków nie wzieni, kie, pado, wiémy, ze som jest i kany! Podźcie, hłopcy! Jo beem zaskakował koło kacmorki, karcmorz be synkował, a wy sie zatela z dudkami zwińcie, bo som je jest i wielgie. Hybajcie!

„Pośli. Muzyka prawie grała, wlos Mateja do izby, ale ino som, a towarzisia pokryli sie, ka wtory móg, za karcmom. Mateja prziniós oscypków, uracył niemi kacmorke, karcmorza i muzyków, a pić dawać kazował i wzion sie ku kacmorce.

„Karcmorz hoj héł nic pote, je dyć ta mu sie i tak nie widziało, coby mu Mateja babe jesce a

i to między ludziami bośkał, bo to noń béło nie-  
ładnie, toz to ik pilnował, a béło cego, bo Mateja  
bél hłop piekny, dobrze uhowany, a baba ta jako  
baba, zwidział sie jėj hnet.

„Karcmorz pilnuje, muzyka jena grać, Mateja  
hip do tańca, a kacmorke pozwał, coby mu wej  
bockowała, haj!

„Tońcom, tońcom, Mateja bél tonecnik nie béle  
jaki, a on ta jus wiedział, co sie zatela onacy  
Towarzisia sie wzieni podkopować do kumory  
jaze sie i podkopali. Uwidział ik Mateja, bo mek  
ze ściany od kumory odpadował, toz to zaśpiewał  
zaros:

„Tańcuj ze se tańcuj kacmarecko tłustał  
Na jutro na rano komórecka pusta,

ale mu to wej nik nie rozumiał, co śpiewa, bo sie  
nie nazdał nik, coby sie miało robić.

„A pote zaś tak:

„Uwazujze, Florku,  
Kielbasa na kołku,  
Jest pono i syry,  
Cosik dwaścia śtyry!”

Kie zaś Józka Mateje, brata, kapelus bez śpare  
dożrał, to mu zaś przepedział:

„Ej shyloj ze sie, Józek, bo ci kłabbuk widno,  
Ej jak karcmorz uwidzi, budzie s nami biédno.

Kie zaś uwazował, ze jus wzieni, co mieli  
wziąć, telo się opowazył, co zaśpiewał śmiało:

„Hej, zbliojcie, zbłojcie,  
Hłopcy uciekojcie!  
Ej na mnie we wężowie  
W Kirak pocekujcie!”

„Zapłacił pięknie za muzykę i za gorzolkę i od-  
hodzący jeszcze tym żydom śpiewał:

Ej kacmorecka rada, bo się wytończyła,  
Ej ale karcmorz nie rad, bo budzą hojco jadł

i posł.

„Tak wej Mateja kacmorke w Orawicak wytoń-  
cél i karcmorza wyonacél. Hłop ta może wse coś  
konać, ino coby po rozum do głowy seł, a nie ka  
inenděj, bo hań nimas poco. Haj”.

Podobnego fortelu użył jakiś baca na okradze-  
nie z owiec swego sąsiada, bacy z innej hali, nie-  
wiadomo jednak, czy Mateja był jego naśladowcą,  
czy on „Matejowym, albo zresztą może obaj nie-  
zależnie od siebie na pokrewny pomysł wpadli.

Przyszedł ów baca z juhasami niby na zabawę  
w gościnę, przyniósł palenki, przyprowadził muzy-  
kanta ze swojego szałas, na miejscu byli też mu-  
zycy i zaczęto tańczyć. Tymczasem zręcznie pou-  
krywani juhasi podebrali się do owiec i wynoszą  
z koszara jedną po drugiej; nagle baca tańczący  
dojrzał, że jednemu z juhasów kapelusz widać z  
poza opłotka, zaśpiewał więc głośno przed muzyką:

Unizoj się, uwysoj się, bo ci kłobuk widno,  
Hrubsom chwostu, bakiesistom uwijoj się śmiznoj

co znaczy: „Unizaj się, podwyższaj, bo ci widać ka-

pelusz, bierz tęższą w zadzie, kędzierzawą, uwijaj się pędko".

Śmiały to musiał być chłop, bo tańczył tak długo, aż juhasi złodzieje mieli czas owce przepędzić ku swojej polanie. Trzeba było zabawić miejscowych, żeby nie spostrzegli i nie poszli w pościg.

Wielu „śumnych” chłopów bawiło się razem i juhasieniem, i zbójnictwem, czasem zbójnik zastępował „zbijać” i zostawał juhasem, a częściej juhas, zaprawiwszy się na podkradaniu sąsiadów z owiec i byczków, przyuczywszy mięso jeść, nie robić i włóczyć się dniami całymi, rzucał dom i przystawał ku zbójnikom. Wogóle między zbójnikami a juhasami bywały dobre stosunki. Juhasi radzi byli, kiedy zbójnicy na halę przyszli i kazali barany rznąć i w mleku warzyć, bo wtedy razem z nimi jedli „štuke”, t. j. mięso, a przed właścicielami mieli wytłumaczenie, że ich zbójnicy przymusili. „Powiedźcie panu — czy gazdzie — że byli tu dobrzy chlapi”—tak żegnali zbójnicy szalas; więcej nie trzeba było. Musieli tylko juhasi skóry owcze tak, jak ze zabitych przypadkiem w turniach lub przez niedźwiedzia, pokazać. Zbójnik zabrał wprawdzie oszczypków i bryndzy, ale przyniósł ze sobą wódki albo i wina i było wesoło. Przy ucztach takich tańczono i bawiono się w szalasie. Nieraz też bacą poprostu jakoby podatek bandzie zbójckiej w baranach i serach składał, a zato nie rabowali oni go już pokryjomu, ani przemocą, a



słowa „dotrzymowali, bo zbójnik był wse hłop honorowy i nie rad kogo pokłamał. Bo kie jemu słowa nie dotrzymali, je, to se ta hnet prisobiël, co mu trza béło, nie pytuł sie nic. To tys jak baca béł nie głupi, to prziryktował syćko, jak sie patrzy, zbójnicy se wzieni i spokojny béł. I nie dokucał go nikt i baca mógł spać, a juhasi za nim. Ino psi strzegli od wilków, abo i od niedźwiedzia i béło dobre”.

Z Żydami byli zbójnicy w rozmaitych stosunkach. Raz w karczmach pili i płacili, aż ich aniołowie święci mieli za to do nieba pobrać—

Pije zbójnik, pije, turackami płaci;\*)  
Weznom go do nieba janiółowie swacil

czasem z karczmarzem w interesach bywali, gdzie indziej znów lub kiedy indziej karczmę złupili, podpalili, bywało, że i wymordowali, jak np. w Kościeliskach.

W piosenkach zbójeckich pozostało trochę wspomnień o relacjach żydowsko-zbójeckich, np:

„Daj palenki, zydu, dobry hłopcy idu,  
Jak nie das palenki, to przidiesz na bidul”

albo: to cie trapić budu. Można wątpić, czy ci płacili „talorkami”. Powitanie jednak bywało uprzejme.

Kacmarecko nasa nie zagasuj ognia,  
Przidom dobrzi hłopcy, budom tońcyć do dnia.

---

\*) turacki, dziś forma, zupełnie zaniechana, oznaczała monetę cwancyglera.

Szynkarz i wogóle Żyd nigdy nie wiedział, co go spotka — czy zarobi, czy go zrabują, drżał jednak na całym Podtatrzu przed zbójnikami, i do dziś po karczmach, zwłaszcza na Liptowie, grube kraty żelazne w oknach, murowane lamusy i drzwi z żelaznymi sztabami zdobią karczmy i dawniejsze sklepy.

„Cos, kie to ta za nic stało. Wzieni nowom huste lnianom, cienkom, skręcili fest, uwiązali u kraty — to w te razy wyjechała z futryny w pole. Hłopy były wte nie słabe. Dźwierze, hojby jako mocne, kie ozhuziali drzewo na folgak, a durkli, do razu puścili”.

„Kie puściły dźwierze od sypanca — uczył Sabala — toz to cekoj ciho, w gotowości. Jak nika nic, idź śmiało. Jak ka stróż nocny usłisoł, zacon holofić — co béło robić, trza béło w uciekaca.”

Rabunki odbywały się w nocy i chodziło przede wszystkim o to, aby się ludzie nie pobudził. Ale zbójnicy mieli czary.

„Trza béło tej gliny dostać, co ksiądz piérsom z łopaty na truchłe ciska, a jageś nimóg dostać, to to trza béło o północy na smentorz iść i gwoźdź umarłemu z truchły od głowy wyciągnąć. Ale hłop musiał być strasnie śmiały i mocny, a i to na rac-kach seł, bo przilałowały ptoki, wilki, strasecne wiatry, pokazywały się stawy i wołało złe, a kie-by sie bét obezrał, łeb urwało. Takim gwoździem ocyrklował to miejsce, ka mieli kraść, to ludzi w

domie cysto pięknie zaśpił. Samo to i tom glinom trza bėło ziem do cyrkła (dookoła) pmaścić".

Kiedy kraty z okna „wyjechały w pole", taki był proceder: pierwszy zbójnik wskakiwał do izby i machał naoslep „dookoła sobie" ciupagą, a drugi wskakiwał za nim z zapalkami, „a oni ta jús wiedzieli, coby ten, co bėł na przodku, tego ze zadku nie skalicėl".

Gdyby zbójnicy mieli byli swego Homera, jako najpochlebniejsze przydomki byłby on im dawał: wysokoskaczący i szybkobiegający. Bo zaiste, żeby wskoczyć przez małe, wysokie okienko dawnej chałupy albo karczmy góralskiej „na pośrodek izby", trzeba było nadprzyrodzenie być gėtkim i chybkim. I tacy też byli. Kośła z Pardółówki, za wielkie palce u nóg się ująwszy, na stół wyskakiwał; Wojtek Mateja, po centnarowym ciężarze żelaznym w Kuźnicach za ucho wzięwszy, przez przykopę wodną skakał, Jasiek Nowobilski, „jak fciał, przodke, boke, zadke, równemi nogami ze ziemie na sionge drzewa wyskocėl".

O Wałowym Jašku Kuli, który z ojcem Wojtką Matej, Janickiem, zbójował, opowiadają, że kiedy się próbowali do mety i Wałowemu kapelusz spadł, podjął go i Janicka w biegu przez głowę przeskoczył oraz że kiedy mu znów kapelusz kiedy indziej wiatr zerwał, gdy przechodził kładkę, skoczył za nim nad wodę, schwycił go i na kładce zpowrotem stanął, to znaczy, że zatoczył łuk w powietrzu.

Na innem miejscu wspomniałem o chłopie z Za-

kopanego, który przez parę koni w biegu na szosie kuźnickiej skakał, skrzypiec w tańcu kerpcami dotykał, tak, że skrzypek grać nie przestawał, a nawet ciężarnej babie brzuch raz niemi musnął.

Biegać też trzeba było, abyś psa „za ogon hycił i telo bił, kielokces”, albo „coby cie pies nie dopad”. Tak biegał Jasiek Nowobliski, najszybszy i najzręczniejszy ze zbójników ostatnich czasów. Opowiadają, że na polanie, Rusinowej Jaworzynie, rozochociwszy się z juhasami, „bez śpas” wypadł z szałasu i olbrzymiego psa owczarskiego za ogon chwyciwszy, począł bić toporzyskiem. Pies w nogi, Jasiek za ogon trzymał i bił, inne psy, bo ich tam dużo było, za nimi. „Ani tyn sie mu wyrwać, ani go hańty dopaść nie zdołały, telo wartki béli”.

Opowiadają też o nim, że razu pewnego tańczył w karczmie, a tu leci dziewczka i krzyczy:—„Jaśku, uciekajcie, ziąndary idom po was!”

— Jako fcom — powiada Jasiek i tańczy, tylko ciupagę, której z ręki nie popuszczał, poprawił w garści.

— Juz som hawl — woła ktoś, patrząc przez okno.

— Niegze ta — powiada Jasiek i tańczy.

Dwóch żandarmów stanęło we drzwiach. Wtedy Nowobliski chwycił flaszkę z wódką, poszedł prosto ku żandarmom i, śpiewając im:

„Hoćby was tu bėło takich hłopców stami,  
to jo z tom gorzałkom przejdem miedzy wami!”

wszedł miedzy nich. Żandarmi czy się przelekli,

czy zgłupieli, dość, że Nowobilski wydostał się w pole. A wtedy tylko im mignął w oczach, „tak się im wej z ocy stracił, jak gmla, kie jom wiatier zduje”.

Wojtek Mateja, któremu koń ze sankami z przed karczmy w Zakopanem galopem uciekł, dopadł go i, chwyciwszy sanki z tyłu, zatrzymał. Stary Szymek Krzyś opowiadał mi, że kiedy juhasił przy Gąsienicowych Stawach—dawniej był tam szałas—juhasił tam także ojciec znanego dziś przewodnika, Jaśka Byrcarza Gąsienicy. Otóż ten Byrcarz wziął się pewnego dnia do szycia kyrpcy z wołowej skóry, „pół cola shrubść”; uszywszy, wysmarował je owczem masłem i „lóg rzekomo spać”. „Kie my rano powstajali, Byrcorz bół przy owcak, ale kyrpce na ścianie wisiały dziurawe. Pyto się go baca, kiz to sto dyasków, skąd się w nik dziury bez noc wzieny, a Byrcorz się ino przyśmihuje. Ale w Jabłonce za Cornym Dunajce bėły piniondze zabrane”. To znaczy, że w krótką letnią noc zdążył taki kurs odbyć, że tęgim kłusem trzebaby jęchać, żeby mu wydażyć — no i że zpowrotem jakie sześćset metrów pod górę miał i to do Gąsienicowych Stawów dość przykro. Ale jak Krzyś twierdzi, i z Myślenic pctrafilili w góry „dobrzy chłapi” za jedną noc „dudki przynieść”, a gdy się dawniej w Myślenicach nocowało i raniutko ruszyło końmi, to się w Zakopanem na wieczór stawalo.

O żyjącym do dziś przewodniku Szymku Tata-rze wspomina ś. p. Wrześniowski, że ze stufunto-

wym upolowanym capem na plecach leśniczemu i jego towarzyszowi, konno goniącym po drodze kuźnickiej, uciekł. Nieboszczyk, Maciek Sieczka, słynny przewodnik i strzelec, uciekał niedźwiedziowi, który, jak wiadomo, niezmiernie szybko biega, i uciekł; być jednak może, że tylko dlatego, że go walił po łbie ciupagą.

„Hłopy bęły jaz nie zall” Siła i szybkość nóg, „zwyrtność” były głównymi przymiotami urody góralskiej; „jo, kiek bęł młody, tok sie nie cuł idęcy”—słyszysz się od starych chłopów. Taniec też góralski jest jednym z najwięcej wytężających nóg, jakie w ogóle istnieją na świecie, a dawni ludzie popisywali się przy nim szalonymi skokami. „Nowobilski powale hodziér”—to znaczy głową raz wraz powały sięgał przy tańcu, a łamać dyle w podłódze. „kie hłop cupnon”, było rzeczą zwyczajną. Dzisiejszy taniec „zbójecki” jest parodią dawnego koła, którem się „towarzisia weselili” gdzie w głębi prastarego boru; pozostało nawet tańczenie z ciupagami. Dawni tancerze wyrzucali je wysoko nad głowę i chwyтали w powietrzu, co nie było dla nich sztuką, bo „hłop miał gałęź i na pół strzelania uciąć na smreku ciupagom”. Od dawien dawna ćwiczenia tego Podhalanie zaniechali; znają je podobno jeszcze Huculi.

Była to tedy w swoim rodzaju szkoła rycerska i podobnie jak raubritter uczył się konno jeździć, mieczem rąbać, kopją uderzać i tarczą zastawiać,

tak zbójnik góralski ćwiczył się w skokach, bieganiu i robieniu toporem.

Życie to było wesołe, ale groźne. Oto pewnego dnia z urzędu przychodził nakaz do wójtów, i całe gminy wyruszały „na obławę” na zbójników, jak na wilki. Ludzie zbroili się w widły, kosy, śperulce czyli kije juhaskie opalone, szli leśniczowie i leśni ze strzelbami. W lasach podwołoszyńskich—opowiadał mi nieboszczyk stary Wala—pięciu zbójników na takiej obławie wybili. „Ludzie case nie bars chentni śli, bo zbójnicy we swojej stronie mało kie co zwyrządzali, ale nakaz bël, to musieli”. Z nastaniem służby żandarmskiej „oblawy” ustały; robiono ich wiele na Janosika, bezskutecznie, bo się wskutek czarów „tracił z ocy jak mara”.

Zbójnictwo zaczęło się kończyć zupełnie już właściwie w pierwszej połowie zeszłego wieku. Złodzieje na większą skalę trafiali się wprawdzie jeszcze do niedawnych czasów, ale ostatni „prawdziwi zbójnicy” kończyli swoją karierę około lat sześćdziesiątych — siedmdziesiątych. W 1866 czy 7-mym roku osadzono w więzieniu Wiśnickiem Mateję, skąd już nie wyszedł—(jak jedni powiadają, umarł on tam naturalną śmiercią, jak drudzy twierdzą, mocował się z jakimś okrutnie silnym „Lachem” i ten mu grzbiet złamał, na stół go przegiąwszy, trzecia wreszcie wersja twierdzi, że stał przykuty do słupa, z pod którego wyszedł smok i pożarł go żywcem). Wojtkowi Gałowi rękę urwało

koło młyńskie, chwyciwszy za szeroki rękaw koszuli juhaskiej, ręką bowiem młyn zatrzymać potrafił, i z tego umarł. Kośła z Pardółówki umarł młodo na zapalenie płuc, najdłużej trwali Jasiek Mateja, bo tego kilkanaście lat temu dopiero ujęto gdzieś za Gubałówką po długiej wędrówce po obcych stronach, i Jasiek Nowobilski, który się lat temu około dziesięciu otrul.

Po każdym z tych „hornych hłopców” pozostało wspomnienie jeszcze dosyć żywe. Największym zbójnikiem, najsprytniejszym, najzawziętym, najzuchwalszym złodziejem był Wojtek Mateja. Miał to być chłop wysoki, tęgi, piękny, niezmiernie towarzyski i „ludzki”, uprzejmy wesoły i hojny. W karczmie, kiedy do niej przyszedł, ludzi częstował, „pił każdy za jego pieniądze, ile chciał”, z każdym był grzeczny i zwady unikał. Straszny był tylko, kiedy mu kto u jego kochanki, Kacki, w drogę wchodził, i w chałupie, wystawionej dla niej gdzieś niedaleko Strążysk pod regłami, krew się nieraz przelewała. W pierwotniejszych naturach góralskich Mateja zachował wspomnienie, pełne admiracji. Bardziej cywilizowani chłopci, a zwłaszcza pobożniejsi potępiają go, gdyż złupił kościół w Chochołowie i napadł na księdza w Zarze (nie-daleko Murania), choć, jak ksiądz zeznawał w Lewoczy, „był nolepsy, bo go nie dawał bić”. Wydały go ostatecznie w ręce władzy albo srebrne łyżeczki, skradzione u księdza w Zarze, które służąca księdza zakopiańskiego miała poznać, albo



też inny rabunek, o którym opowiadają: Jednego razu zaszedł Mateja na halę i począł rozpytywać bacę, czy nie wie o takim miejscu, gdzie się schodzą trzy potoczki. Bąca domyślił się, że Mateja szuka zbójeckich pieniędzy i powiedział, że nie zna takiego miejsca, ale potem zaczął sam szukać i znalazł zakopane dukaty. Mateja też szukał i odszukał wreszcie miejsce, ale poznał tylko, że ktoś pieniądze wybrał. Bąca, pytany, znowu się zaparł, ale był tyle nieostrożny, że powróciwszy do domu, wystawił dukaty na słońce na korytku, aby się przesuszły z wilgoci. Przechodził jakiś Żyd i opowiedział o tem Matei, zapewne spodziewając się nagrody. Mateja poszedł po raz trzeci do bący i proponował mu równy podział, ale bąca znowu się zaparł, że o niczem nie wie. Ale pilnował się już i sypiał na strychu z całą rodziną, wyjąwszy jednej córki, która sypiała w izbie nadole. Mateja niedługo kazał na siebie czekać. Zebrał towarzyszy i przyszedł w nocy. Zastawszy dziewczynę samą, prosił jej, żeby mu powiedziała, gdzie ojciec pieniądze schował. Dziewczyna czy naprawdę nie wiedziała, czy nie chciała powiedzieć, ale Mateję poznała i zdradziła się z tem, a ten z obawy wydania udusił ją na śmierć. Góral takim zabójstwem, czyli raczej morderstwem, się brzydzi, i wprawdzie obrońcy Matei twierdzą, że to nie on udusił dziewczynę, ale jego brat Józek czy jakiś inny zbójnik, bądź co bądź jednak na „jasną sławę” zbójecką Matei napady na kościół i plebanję i owo udu-

szenie rzuciły gruby cień. „Z pierwotku bęł zbójnik, jak sie patrzy, kradł na Luptowie, ludzi cęstował, radzi go widzieli, ale pote się zeźlił, zdi-cał, Pana Boga nie sanował, toz to mu na koniec źle wysło i marnie zginon.”

Wojtek Gał pozostał w pamięci ludzkiej przede wszystkim jako niebywalej siły człowiek. Konia rosłego, który wpadł w moczary, za ogon i za grzywę wyciągnął, a dwunastu juhasów na Kon-dratowej, gdzie był bacą, którzy się z nim o jakieś pieniądze „pokłopotili”, sam jeden „wyprał” czyli wybił. Miał być dość wysoki, ale go „w sobie trzi razy telo belo, co teraz notęsego hłopa”. Sławnie grał na dudach czyli na gajdach (kobza). W przeciwieństwie do Matei miał być ponury. Trudnił się głównie jako złodziej napadaniem na inne hale i porywaniem baranów, byczków, sera i co mu pod rękę podpadło. Przechodził z Kon-dratowej na Liptów i tam kradł najczęściej. Mięsa z pokradzionych bydłał miało być u niego w szałasie zawsze pełno i uczta była nieustająca. Atakował też kupców, którzy w jesieni nabywali na halach owce. Żeby kiedy kogo zabił albo ukrzywdził, nie słyhać. Gał słynał z tego, iż miał nóż, z którym wyszedłszy naprzykład na granicę polsko-węgierską w górach, zakreślał na ziemi ko-ło i nóż wbijał w okrąg: z tego zawsze „zmiarko-wał”, czy „będzie scęście abo nie” i nigdy się podobno nie mylił.

Ciekawą, wyjątkowo postacią miał być stryj

dziś żyjącego, wspomnianego Szymona Tatara (do dziś mimo lat ośmdziesięciu u starych ludzi Stasiowego Symka)—Tatar, zwany Myśliwiec. Ten przed jakimi siedmdziesięciu laty uciekł w góry przed wojskiem i—„co miał konać” czyli robić—poszedł „na zbój”. „Małe to bęło, sucherlawe, ale strasnie śmiałe, wytrzymałe, mocne i zytkie”. Z obawy przed władzą nawet w zimie nie schodził do wsi, ale mieszkował w grotach pod Rohaczami i Osobitą\*), gdzie się zwierzyną upolowaną żywił, bo strzelec był niezrównany i stąd miał przydomek: Myśliwiec. Nieraz takie mrozy przetrzymywał, że mu „cysto pięknie pazdury z palicuk (palców) słażyły”. Daleko się na zbójectwo nie zapuszczał i, zdaje się, z bandą żadną towarzystwa nie utrzymywał, a tylko głównie na Orawie grasował, ufny w swą siłę, szybkość i zręczność, sam jeden. Z bacami okolicznymi był w przyjaźni i ci mu w lecie oszcypki i mleka dawali, a on im za to pióra z głuszców i orłów darowywał. Palił dużo i po tytoń śmiało do wsi orawskich schodził.

Tak mu jednak zimy w górach dogryzły, że się sam w ręce władzy wydał. Otrzymał ówczesną karę „palic” czyli kijów, które setkami rachowano, i został zamknięty w Orawskim zamku, skąd uciekł, ale go schwytano i znowu w tymże zamku zamknięto. Wydobył się stamtąd podstępem. Siedział z drugim chłopem, a obaj mieli kajdany na nogach.

---

\*) Pod t, zw. „Kuchnią”.

Przyszła raz straszna burza w nocy, i Myśliwiec, wyłamawszy jakimś sposobem drzwi, wziął na ramię swego towarzysza, okrytego płachtą, i wyniósł z kaźni. Żołnierz, stojący na warcie, widząc olbrzymią postać, posuwającą się wolno przy brzęku łańcuchów w ciemnościach nocnych, tak się przestraszył, że „przicupnon” tylko, i Myśliwiec doszedł do muru. Tam udało mu się kajdany sobie i towarzyszowi przerwać i uciekł.

Te i nowe sprawy złodziejsko-zbójckie ściągnęły na jego głowę ogłoszenie nagrody za wydanie. Niedługo też, gdy wieczerał w karczmie w jakiejś wsi orawskiej, Żyd posłał do rychtara czyli wójta, że Myśliwiec jest u niego. Z dwóch wsi zbiegli się ludzie, bo to był, „ziwan” czyli zbójnik „velmi straszny”, z czem kto mógł, i nawet jakiś urzędnik węgierski nawinął się ze szpadą. Ten najgorzej wyszedł, bo mu Tatar nos odciął ciupagą, i jak jedni powiadają ciupagą i wydartemi widłami żelaznemi, jak drudzy—ciupagą i dwoma nożami, trzymanemi w garści na dwie strony, wyrąbał się i wypruł z tłumu tyle, że się we drzwiach znalazł. Wtedy cisnął nad głowy ludzi czuchę, a że wiedzieli o nim, że choć mały, niesłychanie wysoko skakał, rzucili się wszyscy za czuchą, myśląc, że to on sam ponad głowy wyskoczy; ciemno było i widzieli tylko, że się coś zamajaczyło w powietrzu. W zamieszaniu Tatar wyrąbał się dalej z tłumu i skrył między domami. Zdaje się, że już bujna fantazja dodaje, „ize po ożeńsciu sie hłopów

wrócił się do karcymy i wieczerze dojad". Wbito mu w walce widły w udo, ale mu to nie dokuczyło zbyt mocno.

Jak opowiadał Szymon Tatar, powróciwszy wreszcie „na umarcie”, starcem już prawie, do Zakopanego, gdzie go w spokoju pozostawiono, widząc, że mu się już niewiele należy, nawet sypiał z ciupagą, z którą się przez kilkadziesiąt lat nie rozstał. „Nie wiemy czy jom tło ukochał, czy się obował, ize go przez niej weznom jako prędzej (dawniej) Janosika”.

W ogólnym zarysie zeszkieować się starałem „zbójników”. Szczegółów jest moc nieskończona i prawie każdy stary chłop, każda stara baba coś dorzuci. Każda okolica ma też swoich bohaterów, swoje wersje, tradycje i podania. Długo jeszcze, choć i w tem powoli czasem zag nie, żyć będzie pamięć „wesolych” w pieśni, która ma charakter podwójny: improwizacji osobistych, które zostały zapamiętane i stały się powszechną własnością — i opiewania przez zawodowych poetów ludowych. Pieśni zbójckie, jedyne w swoim rodzaju i najoryginalniejsze i najszczególniejsze pośród pieśni góralskich, dają doskonały obraz i życia, i charakteru zbójników.

## *PIEŚNI I ŚPIEWANKI ZBÓJECKIE*

(Ze zbiorów Goszczyńskiego, Zejsznera i moich własnych; większa część pieśni, zanotowanych przez Goszczyńskiego i Zejsznera, do dziś się zachowała w pierwotnym brzmieniu).

Hej powiadali ludzie se mnie zbójnik budzie,  
jak budzie to budzie, samym wirhe pudzie!  
Hej nie budem jo gazdom, nie budem rolnike,  
ino budem hodziół zbójeckim hodnikel!  
Hej a jak mie złapiom, to jo budem wisiał,  
na wiersku jedlicki budem sie kołysał!  
Nie bój się, freirko, choć jo na zbój pude,  
ino proś u Boga, to jo twojim budel!  
— Jaworu, jaworu syrokiego liścia,  
dajze Panie Boze zbójnickowi scęścia!...

---

Darmo wy mie, darmo, do skoły dajecie,  
se mnie zbójnik budzie, darmo nakładzieciel!

---

Z mojego Janicka bedzie se tyz zbójnik,  
bo se przetorował do Łuptowa hodnikel!

---

Ucyla mie matka pięknie zatańcować,  
A ociec mie ucęł ukraść, dobrze sować!

---

Bucyna, bucyna, coś mi ty ucęła?  
Siekiérkom wywijać, gorzolecke pijać!

---

Ucies ze sie, ucies, mój Janicku, ucies!  
Kie cie łapać pudom, do wirsycka uciec!

---

Nie bój sie, Janicku, nie bój sie tego nic,  
Orawskiego Zomku, luptowskik siubienic!

---

Hej! Bez jeden wirsycek strużyła sie dróżka!  
[biegła dróżka]  
Hej! Na drugiém wirsycku powiesili Jozka!

---

Hej, jescek nic nie ukrod, ino dwa barańce!  
Hej a juz mie zakuli w zelazne bugańce!

---

Hej kieby nie owiecki, kieby nie barany,  
nie zbércałyby mi za nozkak kajdany!

---

Jescek nie zbójował dopiéro ten rocek,  
jus mie kcom zawiesić na zelozny hocek!

---

Powiadajom na mnie, ze jo ukrod jagnie—  
jo je ukrod z owcom, nieg mi robiom co fcom!

---

Ej jehali zbójnicy drógom od Tokaju,  
Ej i juz zawracajom do polskiego kraju!

---

Hej baca nas, baca nas,  
dobryk chłopców na zbój mas!  
Jesce byjse (byś se) lepsyk miał,  
kiebyś se im séra dał!

---

E jescek nie widział tak dziewczyny płakać,  
jak moja płakała, kie mie przišli łapać!

---

Kieby to tak Bóg dał coby jo sie wrocił,  
ryktarem byk orał, przisieżnemi młócie!!

---

We wirsku nad nami hawrani krakali,  
my na to niedbali, strzyzki my rzezali!

---

Bratowie, bratowie, kohani bratowie,  
budom nam rubali głowicki katowie!

---

Ciemna nocka bėła, kie my na zbój pošli,  
nie dał Pon Bóg scęścia, nic my nie przinieśli!



Boże nom pomagaj i tym naszym nóżkom,  
dzisiok powendrujom ku luptowskim wirskom.

---

Ojcasku, ojcasku, marne twoje życie,  
e kiebyś ty nie krod, nie łapaliby cie!

---

Na luptowskiej hali ogienek sie pali—  
Wtoze go hań nakłod? Janicek ze skali.

---

Ej jescek niewiedział jako owiecki kraść?  
Do soli je zwołać, za rogi je dopaść!

---

Hej nimas to jako zbój,  
padnie listek: to sie bój,  
padnie listek z jawora —  
hybaj Jano do dwora!

albo:

padnie listek bukowy,  
jużci zbójnik gotowy!

(To znaczy: jak tylko liście opadną w jesieni  
i nadchodzi zima, już się zbójnik nie ma gdzie skryć).

---

Góry nase, góry, to nase kómory.  
bukowe listECKI nase podusecki!

---

Janicku zbójnicku, ludzka komóreckol  
Nie zadoj mi tego, moja fraireckol

---

Redykał sie Janik z gronika na gronik,  
jaz sie przyredykał zbójnikom na hodnik.

---

Hej co temu padnie, co owiecki kradnie?  
Hej cosby mu padło? hej strycek na garłol

---

Tańcowali zbojnicy  
w murowanej piwnicy,  
kazali se pięknie grać,  
a na nozki poziérać.

U nas w Ludzimierzu śpiewano warjant:

Tańcowali zbójnicy  
w Mardulowej piwnicy,  
a Mardula niewiedział,  
jaz mu Strycek powiedział.

(Strycek—to nazwisko gazdy. Z rodziny Mardulów, gęsto osiadłej na Podtatrzu, był jeden zbójnik sławny, który „robił na bani” w Magórze, t. j. kopał rudę żelazną i zabił przez zemstę jakiegoś urzędnika. Ciupagę po nim posiada w swoich zbiorach p. Zygmunt Gnatowski w Zakopanem, w „Kołébie”.)

---

Udali mie, udali,  
cob'ik corci zabralil

Udali mie zbójnike,  
ze jó hodziół hodnike!

---

Kieby nos tu béło takik hłopców seści,  
ej przywlekliby my nie z jednego kościł  
Kieby nos tu béło takik hłopców ze sto,  
ej toby my pošli do Luptowa prostol!

---

Hojby was tu béło takik hłopców stami,  
to jo se wywinem ciupazkom nad wami!

---

Mali hłopczy, mali, kiej sie na zbój brali,  
jesce nie porośli, kiedy na zbój pošli,  
jesce nie zblijali, kie ig połapali,  
dyc ig połapali w zakopiańskiej hali.

---

Nie béło mie w domu, béłek za górami,  
moja frairecka posła z zbójnikami.  
Abo sie zwerbujem, abo pudem na zbój,  
juz jo ci freirko nigda nie budem twój!

---

Dobrze Janickowi, pokiela je młody,  
przeskakuje bucki, jaworowe kłody.

---

Ej kie jo se skocem z bucka na jedlicke,  
nie z jednej panienki urobiem zenicke!

Ej kie jo se skocem ej z bucka na pniaka,  
nie z jednego pana urobiem zebraka!

---

Krajami hłopcy, krajami,  
idom hajducy za wami,  
biercie na sie, biercie zbroje,  
nie dajcie sie, dzieci moje!

---

Piórecko mi wijom, kosulke mi syjom,  
zapłacę dziewczyno, ino mie zabijom!  
Abo mie zabijom, abò jo kogosi,  
bo sie mi do góry cupryna podnosi!

albo:

abo sie mie wtosi do woli naprosił

---

Zawieście, zawieście Janicka na bramie,  
niegza już nie hodzi po łuprowskie konie!

---

Wsyscy moi bracia pošli po za bucki,  
a jo se nie poseł, bok se bęł malučki!

---

Ozwijaj sie bućku syćko po malućku,  
jak sie ty ozwinies syćkik nos przykryjes!

---

Cudujom sie ludzie, cudujom sie pani,  
co Janicek robi pod siubienicami!

---

E z turnie, hłopcy, z turnie do zielonej równie!  
E jak se tam śleziecie, na kupca wleziecie!

---

Zabili Janicka między turnickami,  
leje sie krew ś niego trzoma potockami!  
Zabili Janicka na zielonyk łukak,  
cemus sie nie bronił, miał ciupazke w rukak?  
Zabili Janicka w zielonej ubocy,  
ino sie od niego kapelusek tocy!  
Zabili Janicka przy zielonym lesie,  
wtoze mu wtoze mu kosulkę poniesie?  
Zabili Janicka pod zielonom turniom,  
a dziewczęta płacom, jaze Tatry dudniom!

---

Zginies ty, Janicku, zginies jako muska,  
zginies od siekiérki, zginies od obuska!

---

Niebedzie, niebedzie ma miła wiedziała,  
ka sie bedzie se mnie krewka ożliéwała?

---

Spodobała mi się dziewczka u Janicka,  
jak mi jej nie dadzom, pudem na zbójnicka!

---

E dy nasi pani coście wy nom dali?  
Ej obręce na ręce, wy przeklente Niemcel!

---

Kieby nas tu béło jako aj paholik,  
toby my ozbili ryktarowi dworik!  
Ryktarowi dworik, a kacmorce trunek,  
toby nos nie minon ten Orawski Zomek!

---

Poza bucki, poza pniak,  
Wto wyskocy, budzie chłap!

---

Janicku zbójnicku, zbójceki hetmanie,  
kaś podział piniondze, co jo robiéł na nie?

albo:

— Luptowski hetmanie,  
— coś nie robiéł na nie?

---

Ej co jo sie nahodziéł po tym lesie cirnym,  
teroz se wyzirom okiéneckem ciémnym.

---

Hej z Orawskiego Zomku hłopcę poziérajom,  
Cy sie popod Tatry bucki ozwijajom?...

albo:

Ej cy popod Tatry bucki wyrastajom?

---

Orawa, Orawa, wysokie stawiańce,  
wtorędy hadzali hłopcę na barańcel

---

Jo w turnickak urós, mnie turnicki ciesom,  
kie mie nie zabili, to mie nie powiesom!

---

Kie my se pudziemé na pana jednego,  
to sie podzielimé talorkami jegol

---

Kie my se pudziemé popod las hodnickem  
albo:

Hej wirskem, hłopczy, wirskem, samym se hodnickem

---

budziemé miérzali dukoty kotlickem!

---

Zbyrcąły łańcuski, zbyrcąły okowy,  
kie nos prowadzili bez zomecek nowy!

---

Zomecku, zomecku, nowo murowany,  
hej siedział jo w tobie rocek okowany,  
siedział jo na zomku bez rok i bez tydzień,  
nigdyjek niewiedział, kiedy noc, kiedy dzień!

---

W Nowym Targu siedzieć jest co opowiedzieć,  
kie po portkak bijom, to biéda wyleżeć!  
W Nowym Targuk siedział, nic mi nie zrobili,  
ino finfundzwanzig na portki wycieni.  
Hej, kie mi wycieni pięć dwadzieścia palic,  
to jo se poprawiél na zadku nohawic!

---

Jawory, jawory ke macie konory?  
Zbójnickowie ścieni, na fujarki wzieni.

---

Pije zbójnik, pije na drugiej dziedzinie,  
jego freirecka mało nie zaginie.  
Pije zbójnik, pije za ten talor bity,  
nie płac, freirecko, napijes sie i ty,  
coby twoje ocka za mnom nie hladziły (szukały)  
kie mie wiésać pudom na jawór zielony.

---

Hej w polu jo w polu, hej nie na zbojecce,  
powiédzcie, powiédzcie mojej freirecce!  
Zbójnicku, zbójnicku, mos freirke ładnom,  
dojze poziór na niom, bo ci jom ukradnom!

---

Orąwski Zomecku, pięknieś murowany,  
zawiedli mie do cie, okuli w gajdany,  
okuli w gajdany, dali mi posłanie,  
jo se nieboroczek tylko płakał na nie.

---

Popijaj, popijaj, Nowy Tarzek mijaj;  
Nowy Tarzek minies, niebój sie niezginiess!

---

Galica, Galica, malučki Galica,  
ukrodeś owiecke, nie ujdzies Wiśnica!

---



E dy wy Koślowie uzyliście dobra,  
teraz wom sie świecom na Wiśnicu ziobrał

---

Siubienicke krzesom z cieniuśkiego drzewa —  
nie takik siubienic na Janicka trzeba!

---

Uciekoj, Janicku, hore dolinami, (wgóre)  
bo cie jedzie łapać ryktar ze synami.

---

Jano, Jano, siry zbójnik (szeroki)  
on se zna po horach kazdy hodnik,  
ej kazdy hodnik, ej kazdom pérciom,  
ej tobie Jano łańczuzki zazbércom!

---

Janicku nieboze zenom cie w powrozie,  
źleześ se poradziël, miéły mocny Boze!

---

Gęsiółki mi grajom, basicki basujom,  
na moje nozecki raciozki gotujom.

---

Ponizéj Cisowca, nizéj Malinowca,  
zabili Janicka, zabili z pistolca.

---

Ej na tej polskiej stranie ej daj nam Boze zdrowie,  
ej na luptowskiej ceście ej daj nam Boze szczęciel

---

Syćko se poziérom na te moje rucki,  
cy sie na nie zdadzom zelazne obrucki?  
Zdadzom ze sie zdadzom ino se zasłuzem —  
to mie ozweselo, kie świat zegnać musem. (?)

---

Zginies ty, zgine jo, cobyk ino kciała,  
inobyk na tobie słówecko pędziała.

---

Matko moja miła, cemuś mie nie biła?  
Kie mie wiésać pudom, bedzies sie hańbiła.

---

Moja matka płace, moja matka krzycy,  
kiedy mie chycili w Rymarskiej Stolicy.

---

Wiedom ze mnie wiedom, coz mi robić bedom?  
Wiedom mnie ulickom ku tym siubienickom.

---

Krzesom subienicke popod samém dworem—  
Wtoz hań budzie wisiał? Kaser z derektorem—(ja-  
kieś okradzionej przez zbójników kasy: zbó-  
jecki dowcip.)

---

Moja miła przemilena  
tyś mie dała do więzienia,  
do więzienia do takiego,  
ze nie wyjńdem nigda ś niego.

---

Na dole, na dole siubienicek troje,  
wybieraj se śuhaj, wtore bedom twoje?

---

Specjalnie o Zakopiańcach krążyła piosneczka:  
Byli ci to byli ci Sieckowie chłopcy:  
ozbili zomecek po miesiącku w nocy.

---

Juhasi, juhasi, skoda wasej krasi—(to znaczy krasy,  
urody)  
co was powiésali za te zółte własi! (włosy)

---

Siedziem nas, siedziem nas, zgienie tu jeden z nas,  
abo ja, abo ty, abo towarzys nas.  
Owce moje, owce, nieg was pasie wto fce,  
jo was paść nie budziem, bo ja na zbój pudziem.

---

Ej mnie ułapili, jako ptoska w sieci,  
na moje nozecki słońko mi nie świeci.

---

Kiedy sie rusymy z wirchu Marusyny,  
zomek ozbijemy, zoden nie zginiemy!

---

Po za bucki, po za hraść,  
pudziem chłopcy zbijać, kraść,  
ej za hory, za hory,  
na luptowskie talory!

---

E coż mi po tobie dziewce pod wstążkami,  
kiedy jo okuty na krziz łańcuskami!

---

Freirecko moja, podź mnie odprowadzić,  
by na ten wirsycek, ka mie majom zabić.

---

Ty sy Jano ty sy chłop,  
Ty sy ozbił biły hrad, (biały gród)  
Biłe hradzkie piwnice,  
budzie s tobie zbójnicek!

---

Na zbój hłopcy, na zbój, wto sie w nozki cuje,  
a wto sie nie cuje, niechaj nie próguje.

---

Panowie, panowie, nie dajcie mie zgubić,  
ja wam bedem za to siedem rocków służyć.  
Panowie, panowie, wyróbcie mi prawo,  
coby ja nie siedział na Wiśnicu darmo!

---

Hęj! jakzeby było zol memu kohaniu,  
Kieby mie powiedli z wirsku ku muraniu!\*)

---

Powiadała ja ci daj poziór na siebie,  
hamerscy hajducy bierom sie po ciebie.  
Obiesom cie Janku za pośrednio ziobro,

---

\*) Murań w tem znaczeniu (lub murowaniec) znaczy zamek.

juz ci pote bedzie zbijać niepodobno.  
A kiej mie obierom, moja dusa wstanie,  
budzie ona hladzić (odwiedzać) freirki na sianie.

---

Kiej mie obiesicie, obieściez mie w mieście,  
barylke z palenkom nade mnom powiędzie  
tam budem se wisiał, budem se spocywał,  
tam budem co kwila palenku popiwał.  
Obróć ze mnie, mistrzu, ockami ku drodze,  
nieg jo sie napatrzem tej zbójeckiej chodze! (droga)

---

Mikułas, Mikułas, ty se bystre miasto,  
do tobie przestrono, ale w tobie ciasno!  
Mikułas, Mikułas, mikułaskie mostki,  
kań sie potyrajom śwarnyk hłopców kostki!

---

Trzymaj ze se trzymaj swojom fantazyjom!  
Jo jej nie popuscem, hociaj mie zabijom!

---

Piniązki, talary, zkaǳbyście sie brały,  
kieby nase rucki na was nie rabiały?

---

E dy jo se pijem, ale nie za swoje:  
za ludzkie piniondze, za ludzkie modzele! (nagiotki).

---

Zbójnicy mieli swój język, o ile mi się zdaje,  
w wielu wyrażeniach pokrewny ogólnemu złodziej-

skiemu polskiemu żargonowi; treść tylko będzie odmienna.

Handrusi (złodzieje) we wirsku, sikorka (?) w dolinie,

wto artykę (wódkę) kirzy, knaje (dąży) ku ślalinie (kochance).

Handrusi knajali, tak sobie sifrali (mówili),  
e ze na facyanku (?) niedźwiadka zbuchali, (kufer ukradli)

niedźwiadka zbuchali, forse zajuchcili (zabrali pieniądze),

przyknali do kudłaja (Żyd), tam ją przekirzyli.

---

Siorsa (droga) burkowana, karcma murowana,  
dyc hań stoi w niej kacmarka niesifrana.

Przyknajali do niej trzej handrusi dodnia,  
siedneli se za stół, dziakneli (skrzესali) se ognia.

Ognia se dziakneli, dulki podulili, (fajki ?)

śwarnom kacmarecke ku sobie tulili.

Kacmarecko nasa pozwól ze nami zagrać  
pięknie potańcować, poknajemé zaraz.

---

Nie knajcie siorsami, tylko manowcami,  
dziaknem na karego, poknajem za wami.

---

Syn Sabały. Jan Krzeptowski, śpiewał mi długą  
pieśń, „śpiewankę ostatniego zbójnika, Jana Chrońca”.

Horni hłopcę byli, na Hroniu pijali (Gronie—wieś),  
a wójcia Białanie na nik śpichowali (zastrzegali  
się).

Jak ik ośpichowali, do miasta znać dali, (do No-  
wego Targu)

mieszańscy panowie wojoków posłali.

Wojocy tam przišli, tam nās wyhytali,  
do Nowego Tyrchu na odwach zagnali.

Na jutro na rano w ratus sykowali,  
tam nase nozecki w putā zaputali (pęta).

Mieszcianie panowie w Orawu pisali,

Orawcy tam przišli, tam nas poznajali (poznawali).

Jak nas tam poznali, to nom powiedzieli:

wyście nom, huncfuci, piniażki zabrali!

My im powiedzieli, że my im nie wzieni

ino tysic złatych, a dwa tysic złatych na dwore  
niechali,

jesce my im za nie piéknie dziakowali (dziękowali),  
po pietnast obusków w hławu rachowali. (Piętna-

Wrrrl

ście obuchów w głowę.)

---

Inną, zgółā odmiennego tonu jest pieśń, skom-  
ponowana w więzieniu, także przez młodego Sa-  
bałę śpiewana:

Uświadczy teroz w więzieniu  
po swych uciehak, radości,  
o, jak w okropném nudzeniu  
rozmyśla teraz o wolności!...  
Straciłęk wolność z młodości,

jagze jej teraz załujem,  
narzykać musem, bo cujem...  
Skowronek leci do góry,  
a słowik w gaju nuci: (siedział gdzieś w dolinach)  
cegoz mie kraty i mury  
odłacać majom od ludzi?  
Oj hereście, hereście, ty nieszczęsna dziuro!  
Jak cię weter (waerter) zawre, to on cię wytrzyma,  
dyc on cię wytrzyma, wymorzy cię głodem,  
jak on cię wypuści, cyni się świat miodem,  
cyni się świat miodem, cyni rodzynekami,  
a jo nieboroczek za trzoma zomkami.  
O Boże mój, Boże, wyzwól ze mnie ztela, (stąd)  
wyzwól ze mnie ztela, z bilego kastela,  
cobyk tu nie siedział, nik o mnie nie wiedział,  
ino jeden Pan Bóg, Panienka Maryja...  
Dała mnie tu wsadzić jedna kanalijska... (Rym jedy-  
ny w swoim rodzaju, w którym sobie zbójnik  
ulżył.)

I Goszczyński, i za nim albo obok niego w kilkanaście lat później Ludwik Zejszner przytaczają pieśń, której ślad już się nie zachował, o której Goszczyński powiada, że jego zdaniem, jest to „jedna z najpiękniejszych pieśni pomiędzy pieśniami ludu”. I jeden, i drugi—jak wogóle—spisali tę rzecz w fatalny sposób, sadząc błąd wymowy na błąd, a niedołączna korekta dopuła ją do reszty. W rekonstrukcji brzmi tak:

Hanciu moja, podź du domu,  
wydom ja cię niewiem komu,



wydom ja cie Janickowi,  
hej walnemu zbójnickowi.  
Jano, Jano, tegiś zbójnik,  
wiés po wirhak kozdy hodnik,  
we dnie idzies, w nocy wrócis,  
a mnie biédnom tylko smucis.  
Mos kosulke uznojonom,  
a sablicku zakrwawionom,  
Jano, Jano, kajeś ty był,  
coś se sablicku zakrwawił?  
Wyrubałek tu jedlicku,  
co stojąła w okierecku,  
we dnie, w nocy hurkotała,  
mnie smutnemu spać niedała.  
Przyniós ci jej chusty prać,  
a niedał ik ozwijać.  
Ona prała, ozwijała,  
prawu rućku nadybała.  
W tej rucyce pięć palusków,  
a na małym złoty piestrzeń,  
w tym piestronku troje wrótka—  
„dyć to mego brata rucka“,  
Niedługo sie obowała,  
do matusie odsyłała:  
„Matko moja przemilena,  
cy mom bratów syśkik w doma?“  
„Córuś moja, nic z jednego,  
z tyk to siedmi nomłodsego..“  
Skoro wyseł rok półtora,  
nagodził jój Pon Bóg syna.

„Lulaj buba synu mój—  
nie bydź tak, jak ociec twój!  
Na kaski byk cie siekała,  
orłom, krukowi ozyspała!“  
A on za smreckami słysy  
i od złości cały dysy.  
„Śpiėjaj, Hanciu, jakś śpiėjawała,  
kiedys syna powijała.“  
„Lulaj buba synu mój,  
byś był tak, jak ociec twój!  
We winie byk cie kąpała,  
a w jedbowie powijała!“  
„Oblec, Hanciu, drogom satke,  
a pudziemy na przechadzke.“  
„Dwa ręceckik s tobom zyla,  
na przechadzki nie hodziła.“  
A wzion ci jom za rucycku  
i zawiód jom do gaicku,  
ocka corne jej wydłubał,  
rącki białe jej odrubał.  
Osplakał sie syn jej młody,  
nimóg ojcu on dać rady.  
„Wstań ze, Hanciu przemilena,  
podź, utul twojego syna!“  
A som poseł w skały, lasy  
i nima go po té casy...

Pieśń jest rzeczywiście i oryginalna, i piękna,  
i zupełnie w swoim charakterze odrębna. I Go-  
szczyński, i Zajsner przytaczają następujące do  
niej objaśnienie:

Pewien zamożny gazda miał siedmiu synów i bardzo urodziwą córkę, między zalotnikami do niej był i zbój. Ojciec znał go jako porządnego gazdę, nie robił więc trudności w oddaniu mu córki. Córka również zostaje w niewiadomości, ani jej przez myśl przechodzi, aby miała być małżonką zbrojnika; jednakże po jakimś czasie pożycia niepokoja ją odludne położenie ich domu pomiędzy najdzikszyi skały i bory; na różne domniemanie naprowadza zbyt częste oddalanie się męża z domu. Wypytuje się o przyczynę i wyrzuca z płaczem, dlaczego jej nigdy nie otworzył skrzyni ze swojemi rzeczami i dlaczego bielizny do prania nie daje — (między ludem niemasz ważniejszego powodu do posądzenia męża o niewierność, jak kiedy nie daje bielizny do prania), lecz Góral daje jej same wykrętne odpowiedzi, które jej wcale nie mogły zaspokoić. Zdarzyło się po jakimś czasie, iż pewnego wieczora powrócił do domu bardzo zmordowany i ze skrwawioną bronią. Przelekniona żonaypytywała go i tym razem, ale napróżno. Postanowiła więc czekać stosownej pory, i kiedy mąż znowu gdzieś poszedł na dni kilka, otworzyła skrzynkę i znalazła w niej pomiędzy bielizną prawą rękę: po pierścionku na małym palcu poznała rękę najmłodszego swego brata. Już teraz przekonała się, że jest małżonką zbrojnika, i w ciichości zносиła swoją dolę nieszczęsna. Niedługo stało się, że Pan Bóg dał jej syna. Raz, gdy go lulala do snu i dawała przestrogi, aby się nie wdał

w ojca, mąż ją podsłuchał. Wszedł do chaty i kazał powtórzyć piosenkę, ale biedna dała jej inny obrót, pochlebny dla męża. Nie zmiękczyło to zbójcy, kazał żonie odziać się w świąteczne szaty, wywiódł gwałtem w las odludny i odrąbał ręce za to, że otwierały skrzynię, a oczy wydłubał, że przepatrywały jego rzeczy; poczem odprowadził niešťczęsną do domu, a sam poszedł w Tatry i nie było więcej o nim słyhu.

Tak mniej więcej do ostatnich czasów przechowało się w pieśni zbójnictwo podtatrzańskie, a być może, że niegdyś snuto na jego tle to, czego właśnie ludowej polskiej poezji braknie, t. j. całe długie skończone w sobie rapsody bohater-skie, których fragmenta, rozbite na najdrobniejsze części, przechowały się do czasów Goszczyńskiego, Zejsznera i naszych, o blisko osmdziesiąt i blisko siedmdziesiąt lat później.\*)

---

\*) Śpiewanek, cytowanych w tekście w rozdziale „o Janosiku” i „o zbójnikach”, nie powtarzam po raz drugi,

## POJĘCIA RELIGIJNE DAWNYCH GÓRALI

Wojtek Gewont, nieboszczyk już, poszedł raz, młodym będąc przewodnikiem, w góry i „pod Polskim Grzebieniem przisiadła gmla jak ciasto. Ni-jakim świecie nimógek wiedzieć, ka mom iść, a ono ta pérć jesce wte tako wydeptano nie béła. Upytałək panów, coby na kwile siedli, a som łecem, modlem sie, *ka jaki świenty...*”

Sabała, kiedy miał do chrztu z Modrzejewską syna Witkiewicza trzymać, że nie był „naucony s tém robić”, a „coby sie nie pohańbić”, idzie do ś. p. księdza Stolarczyka, proboszcza w Zakopanem, rozpytać się „jako to trza”, a rozpoczyna w ten sposób: „Przepytujem tys wasom duhownom osobe i *syćkie świentości, jakie ta we was siedzom...*”

Świadczy to o poufnych stosunkach. Ten, nie mogąc drogi znaleźć, leci jej szukać, modląc się „gdzie jaki święty”, tamten przeprasza duchowną osobę i wszystkie świętości, jakie w niej siedzą. Jest to uznanie, przyznanie, ale niezbyt osobliwe

uszanowanie. Kto z dawniejszych gości zakopiańskich pamięta Kubę Jędrasiowego, pospolicie Kubę Kołodzieja, nazywanego czasem dla nadzwyczajnie wykwintnej urody „markizem”, przypomina sobie jego sceptyczny dyskretny uśmiech, bo nikogo urazić nie chciał. „E dyc ta moze, moze” — ale do kościoła ani do spowiedzi nigdy nie szedł. Nie zaprzeczał on Pana Boga, ale on był gazda na swoim, a Pan Bóg na swoim, i nic sobie nie mieli wzajem do powiedzenia. Przypuszczam, że gdyby się byli spotkali, toby mu się Kuba ślicznie uklonił, bo miał dworne maniery, a Pan Bóg starszy, pan i hrubsy gazda. Ale co do nieba — e ta jako fciało... Dawni Podhalanie mało mieli z kościołem do czynienia. Jeden był w Szaflarach, drugi w Chocholowie. Dziecko, jak pilno było trzeba, „e to ta i same baby ukrzciły z wody i bęto” a, jak opowiadał Sabała, kiedy kumoter dziecko do chrztu zaniósł, a ksiądz się spytał:—„Zej cegos ty kdes od kościoła Bozego?”—to mu pedział tak: —„Zej wy ta jegomość lepiěj wicie, boście ucony — haj.”

Bywali też specjaliści od noszenia do chrztu i był także taki „urzędnik” w Zakopanem; kładł on dziecko do torby juhaskiej, poowijał frombijiąmi, t. j. taśmami do noszenia, żeby mu było ciepło, dobierał sobie babę kumoszkę i niósł do kościoła. Ale raz w zimie wstąpili z kumoszka przed kościołem do karczmy, a dziecko, zawieszone na ciupadze, wciętej w węgiel kościelny, zmarzło, więc

chłopa „z urzędu zrucono”. A kiedy kumoszka narzekała nad duszą, chłop na to:—„E ta dusa, kie uciekła, to jako kciała, ale go skoda, bo miał palce długie, byłby muzyka ś niego na gajdak grać dobry”.

Dzicz, kiedy kościoły zaczęto budować na Podhalu, była straszna. Do dziś opowiadają, jak w Poroninie po sumie w niedzielę chłopci kapelusze na głowy kładli, lampę z przed ołtarza nadół ściągali, „lampas”, jak mówili, i zapalali od niej fajki. Potem szli do karczmy tańczyć, ale i ksiądz osobiwszy był, bo szedł razem z nimi i tańczył.

O pierwszych chwilach pobytu księdza Stolarczyka w Zakopanem, pierwszego tu proboszcza, opowiada klasyczne rzeczy Witkiewicz w „Na Przełęczu”. Szkoda, że niektórych ludzi nie można w bronz wtopić razem z ciałem i duszą. Drugiego takiego księdza na świecie nie będzie i nie było. Chłop jak dąb, olbrzymiego zupełnie wzrostu i postawy — (kiedy go Wojtek Mateja pierwszy raz spotkał, wykrzyknął zdumiony: „Ej jegomość, dyabli wam w rzici grali! aleście hłopi!”)—niezrównanym był kaznodzieją w stosunku do ludzi, do których mówił. To jest nieodżałowana szkoda, że tych kazań nikt nie notował. Ksiądz rozmawiał poprostu z chłopami z ambony. Pamiętam, kiedy mówił à propos złodziejstwa:—„Myślicie, że jo nie wiem? — mówił dialektem. — Wiem w Kalotówkak o jedném, w Małolące o dwok, przy Stawak zaś znowu o jedném. Ma ta człowiek krowy, owce, to się dowié hnet...”

A owe opowieści o podróży do Ziemi Świętej, gdzie na osłe jadąc, nogami do ziemi „dostają”, gdzie na piramidę wylaząc, przewodników Arabów odpędził, „bo jo ta gór zwyczajny”, wszystko z ambony do półdzikich drapieżnych chłopów i półdzikich samiczych bab językiem Sabały gwarzone.— „Nas jegomość nieboscyk to se tak do ludzi z ambony radziéli, jako hojwto w izbie urodzo abo w polu, ale go ludzie strąśni radzi widzieli i mieli za co, bō mu wse dobrze rozumieli i to bēł ksiądz, a nie bzdura!...\*)” — mówią starzy chłopci z żalem.

Miał ksiądz pleban jedną słabość, a tą były piękne podówczas dawne Zakopianki. Kiedy więc raz Sabałę za niezbożny żywot piekłem ktoś strąszył, Sabała odrzekł: „E ta prosem pięknie ik mielőści wielkomoznego państwa, kie hań jus jegomość do nieba ze swoim siedemdziesiorgiem dzieci wlezie, toz to jus i jo jakosi po boku wkietznem, a kizby to dyascy byli aj byli, coby ksiądz nie do nieba poseł, kie umierał bedzie za case?...”

Starzy Górale wyobrażali sobie Pana Boga jako gazdę na ogromnym majątku, ubranego jak oni, tylko zawsze „bars fajnie”, jak na święto, gazdującego jak oni przy pomocy Syna Pana Jezusa, Ducha Świętego, Matki Boskiej i Świętego Józefa, a aniołowie byli za parobków. „Gazdowstwo zwyjajnie hrube, wielgie, to i robotnika trza, jele hań wto mō robić służbe w niebie.”

---

\*, Bzdura—coś małego, nikczemnie wyglądającego, byle co.



Pan Bóg, Pan Jezus światem rządzą i wszystko wiedzą, i klasyczny ustęp znajdujemy w „Śpiących rycerzach” p. Stopki, gdzie Pan Jezus, zniecierpliwiony „nukaniem” Świętych w sprawie owych rycerzy, odpowiada: „Ja o tēm syćkiēm wiem, bok przecie Pon Jezus i światem rządzem, a wy Świenci mi nie napowiadajcie, co mom robić, bo jo se rade dom, hoć jek ino jeden...”

Nadzwyczajną historję à propos religijnych obrządków znalazłem w papierach Jędrzeja Sulei z Kościelisk. Półdziki chłop, co węgle palił, został po śmierci matki sam i chciał się ożenić, bo go nie miał „wto oprac i ucesać”. Poszedł więc do kapliczki z Panem Jezusem i „pytał go” czyli prosił, aby mu się z Kašką od Pięćkolonki ożenić dopomógł. Aby Go dobrze upytać, chciał Go nawet do pustego jawora na Zahradziska na zimę przemieścić i tam postawić, ponieważ byłoby. Mu tam cieplej i nie wilgotno i ponieważ w jaworze tym pochował uprzednio swoją matkę, która się spaliła, wpadłszy do ogniska z węglami, „to nie będzie cliwo Pana Jezusa, bo se bedom wroz”. Ale gdy krzyż do ściany przymarznięty był lodem i ruszyć się nie dał z kaplicy, nie przyszło to na myśl Kubie, tylko tak się odzywa: „Ehe! Wiem, o co Ci idzie! Kazdy tys to ino na swoim śmiećniku rod siedzi, to je roz! I kie Ci sie jus tak widzi, to siejdze...”

Idzie potem do Kaški od Pięćkolonki i oświadcza się jej; zostaje przyjęty, tylko Kaška mówi o ślubie. Na to Kuba: „Na teroz to nom dość wystarczy, kie

weźniemy ślub przy kaplicy na Kościeliskak. Jest hań Pon Jezus, krziz—i sydzko, co trza."

— Je kie to tak jakosi bedzie pono nijako? — mówi Kaśka.

— Nie wierz! — odpowiada Kuba. — W Kościeliskak zrobimy tak, jako i hodźka (gdzie bądź). Pon Jezus hań jest i to barz dobry. Jo ta jus dziś uradziół ś Nim o tém, to wiem... Jo Go hań tak nie ostawiem, bo widzem, ze worce tego... Ślubu nom zazrościół nie bedzie... A kie bedziemé mieć pioniondze, to se zojdziemé w Chohołów i ślub drugi weźniemé, jak nom go bedzie trza.

Idą do kaplicy, uklękli, złożyli ręce i Kuba mówi:—„My tu na popróznicy nie przišli, wiera nie, ba po ślub. I trza nom go duskem dziś! Bo my zwyczajnie w grzyhu i na wiare żyć nie kcemy".

— O, wiera nie! — dodaje Kaśka.

Naraz jednak pewnego dnia w chałupie Kubowej zjawiają się dziesiętnicy, posłani przez wójta, aby z cebrzykami gnać Kubę i Kaśkę, pewni, że na wiarę siedzą; bo taki był zwyczaj, że za to cebrzyk przywiązywano na plecy i, bijąc weń kijami, prowadzono. Kuba, ze zbójeckiego rodu chłop, dziesiętników „wyprał" i wyrzucił z domu, ale uradzili z żoną, że skoro tak, to trzeba do Chochołowa po ślub do kościoła iść.

W kościele nigdy nie byli, nawet po chrzest, bo ich ochrzciły baby w domu samą wodą. Zabrali „życie" (żywność) i ruszyli, a była zima.

## SKARBY W TATRACH

Otóż jest noc cicha, gwiaździsta, a oni z rozpalonemi twarzami, z błyszczącemi oczyma siedzą w szałasie koło watry (ogniska) i z wygasłemi fajkami, z półotwartemi usty słuchają. A stary baca, jakiś Zwijac z Ustupu, Budz z Gronia czy Zych z Witowa, opowiada swoim juhasom o zaklętych w górach skarbach. Bo jego własny stryk nieboscyk widział w Jarzambce pieniądze, jako się przesusajom na korycie dę miesiąca, a on sam nieraz i nie dwa razy ich posukował w halach. Idzie raz w nocy ze swoim przyjacielem (krewnym) kopać świstaki w jesieni pod Pośrednim Wierchem i dało mu się pojąć na ławom renke w dolinie poza Mnichem i zobaczył coś, co błysło, jak złoto. Ale snąć nie był godny tego szczęścia, bo nic nie znaleźli między skolmi (między głazami).

Wielu chłopów znałem, którzy szukali skarbów w Tatrach, z tych wiem, że Sabała Krzeptowski z Kościelisk naprowadził swego najstarszego syna Jakóba na zakopane pieniądze zbójckie gdzieś

koło Chochołowskiej Doliny i te syn jego posiadł. „Po Matejowi po Wojtkowi” (po Matei Wojtku) zostały pokryte i zabrane. Jędrzej Wala z Walowej Góry w Zakopanem, ten sam, co duszka w kierpcach w Kościeliskach szlakował, miał pewne wskazówki, że w Staroleśnej Dolinie w kolébie skarby zakopane są. Wybrał się tam ze swoim szwagrem, krawcem Michałem z Gładkiej, i szukali. Ale znaleźli tylko nóż, miechurek na tytoń i wykalacz do fajki czy też fajkę. Wala potem zasnął, a Michał czuwał, wtem do koleby wlaź chłop. Michał się strasznie przeląkł i na Walę krzyknął, a w tej chwili ów chłop się odwrócił i wyszedł. „To bęł jakiś duk, ale dobry.”

Skarby były dwojakiego rodzaju: pieniądze, zakopywane w ziemię przez zbójników, albo też skarby przyrodzone podziemne, strzeżone przez duchy i smoki.

Opowiadają górale, że właściwie pierwsi, którzy szukali skarbów, to nie byli oni, ale ludzie z dolin, „od Lachów”, przychodzący z książkami i różnemi „sposobami”. Były to „spiski”, które ojciec synowi albo przyjaciel przyjacielowi przekazywał.

Goszczyński pisze: „Wyżej jeszcze niż Pięciostawy (Pięć Stawów) leży jezioro, zwane Żabieniec (?), mało zwiedzane dla skał nadzwyczajnie przykrych dokoła, dla ścieżek niebezpiecznych, także z powodu zimna, bo jezioro przez dziesięć miesięcy jest pod lodem. (Być może, że jest to

dzisiejszy Teryjański Staw w Niechcyrce, niezbyt od Pięciu Stawów odległy, prawie zawsze zamrzły; w tamtej stronie innego jeziora, podobnie zamarzającego, niema). Owóz do tego jeziora przychodzi siedmiu Czechów, ścieżkami im tylko wiadomymi. Muszą oni wydobywać tam złoto (które w Krzywaniu kopano), bo po ich odejściu znajdowano żuźle, a nawet piecyki. Ale nikt dotąd nie zeszedł ich wśród roboty.

„Amantissime! — pisał ktoś w XVIII wieku. — Pytaj się do Spisza ku Kiesmarkowi, tam się dowiaduj o jakiego Górala, któryby wiadom był tamtejszych gór. Mając tedy przewodnika, ićz do miasta Białej i stąd idź chodnikiem do Koperszachtów, (Koperszady pod Hawranem) i tak dalej... potem idź chodnikiem do Czarnego lasu na dwoje strzelenia z hakownicy, (na strzelenie ze strzelby do dziś mierzą Górale odległości...) Na lewej ręce wyżej ciebie spadły wysokie, z których woda ciecze do plosa (jeziora...) na tym spadzie są znaki takie: głowa, ręka, krzyż, sześć gwiazd, na gładkiej wyciosane skale... na drugim spadzie są te znaki: trzy krzyże, dwanaście gwiazd i te litery: T M W P Z Z G N I W. Ale się tego waruj każdemu wyjawiać, boby każdy na to miejsce trafił, a to jest małe i od Boga skryte. Po prawej ręce woda, lasek podle tej wody; znajdziesz tam ognisko przyprawione, kędy my legamy, kiedy niepogoda (autor był zapewne strzelcem...) Od tego tego ogniska jest chodnik, pod las przez kosodrze-

winę wyrąbany; idź za nim na strzelenie z łuku; po lewej ręce ujrzysz przy samym chodniku świerk, na nim wyrąbany taki znak M... obróć się doliną, alias ścieżką, jakoby na dwa strzelenia z procy... szukaj na południe, na ciśnienie kamienia ku jednej skale... Najciężyć będzie na dwóch miejscach wyleźć w górę; a tam ujrzysz dziwy dziwne — maluśką łączkę, a na niej pagórek, gdzie cudzoziemcy jadają(?); na nim tam może odpocząć a posilić się... przeciwko rozpadliny jest na drugiej stronie przez dolinę ku wschodu słońca jedna wysoka turnia; na niej mnich jakoby misternie wyciosany był; około tego mnichowego gardła jakoby obręcz złota, to jest najwyższy znak od Pana Boga postanowiony — gdy wschodzi słońce, to uderzy od niego blask aż do samej rozpadliny... Pod mnichem, umiarkuj sobie, jest wielki kamień, położony przy skale przez rozpadlinę; na tym głowa wyrąbana człowiecza. A na drugiej stronie jest most wyrąbany... ujrzysz jeden kamień szeroki, pod którym sobie cudzoziemcy ogień składają. Pod tym kamieniem znajdziesz cekan i grance i płok(?) jak groch złoty i jako orzechy włoskie, wielkie, wewnątrz czyste, zwierzchu czarna łuszcza, ale tego nie bierz, idź przeciwko wielkiemu turniowi, gdzie mnich stoi, a ujrzysz dobrze, już cię uczyć nie trzeba (znak krzyżyka w rękopisie.)

...Żal nie jeziorko, jako koryto, podobne do siew-

nego wozu—małe, wąskie, jakoby je umyślnie wykował. Około niego skały dziwne jako pień, jako filary, a widzi się, jakoby miały upaść. Między temi skałami jest wiele dziur wielkich i małych; a gdy tam przyjdiesz, klęknij na kolana, podziękuj Panu Bogu, że ci tam dał dojść, i proś Go, żebyś we zdrowiu stamtąd wyszedł i tego używał we zdrowiu, Pana Boga chwalać, ubogim dobrze czyniąc...

A potem dobrze patrzaj, ujrzysz tam jedną dziurę jako na dwa łokcie od ziemi, do której najciężej wniść. Tam znajdziesz kank (garnek) złoty, jako winna beczka, brunatna jako szkarłat; a gdy odetniesz, mieni się jako miedź najciemniejsza, a w tym kanku są drogie kamienie jako karbunkuly, a ziarno jako bob, jako groch, jako łaskowe orzechy, jako kokosze i gęsie jaja. A gdy odetnie siekierą, jak się drugi ułupi, jako orzechowe ziarno. Ale nie życzylbym brać kamieni, bo byś musiał iść z niemi do Wenecji; tuby ich nikt nie kupił... Ale lepiej nabierz złota, co Pan Bóg da, a potem idź pod spad do wody, co spada od Żabiego jeziora, tam sobie skrzysz ognia. Potem kołac cekanem albo siekierą; gdzie będzie dudniało bardzo, tam otwórz; albowiem bardzo mocno zaprawiona dziura.

Wleź tam, a znajdziesz po prawej ręce kank, jako piwna beczka, nakrapiany drogiemi kamieniami, które rzeczy w jednym noszeniu stoi za 40.000. Co w nim jako groch, temu daj pokój. Po-

tem patrz po lewej ręce jest kank drugi, złoty; sobie miarkuj, ujrzysz wyżej siebie dwanaście stopniów wyrąbanych; wyleż wgórę, tam znajdziesz dziurę zaprawioną, a w dziurze jest złota mocka, także i drogiego kamienia. Nabierz, cōc się podobą.

Jest tam słup złoty—stoi jako żywy; a w porośrodku tego cmentarzyska, od tego słupa i mnicha, ciągną się promienie i odnogi złote na wszystkie strony... właśnie jak korzenie rozciągają się.

Wychodząc zaś stamtąd, jest (sic) słup srebrny, tyli jako i złoty, bardzo wielki, ku niczemu nie porównany. Jest też tam słup albo matka drogiego karbunkułu; tam siedzi król Gregorius, a za nim jego Rada i Xiążęta. Nie trzeba tam żadnego światła w tem cmentarzyku, albowiem, królewska korona tak jasna, że wszystko oświeca. Tam będziesz miał drogiego kamienia dosyć, a Panu Bogu podziękuj, że ci dał takie rzeczy widzieć...

Gdzie indziej, nieopodal tegoż Jeziorka Żabiego:

„...W pierwszej dziurze par wielki i zaduch, trzeba mieć gąbkę, napuszczoną wódką serdeczną i kamforą. Druga dziura wietrzna, lód ze śniegiem, ale po nim przejść może. Trzecia dziura ciepła, czem dalej, to lepsze ciepło i widok; bębnienie i szum wody słyhać, a tam dopiero łączka piękna pokaże się i źródła nakrzyż.... Po prawej ręce są karbunkuły (w jednej dziurze), w drugiej—złoto, w trzeciej—srebro, w czwartej—miedź wyborna. A jeżelibyś nie chciał iść w te dziury, to ta woda,



co spada we środek krzyża z kamieni, wysoko le-  
cąca — podstaw pod nią płachtę na kijach albo  
druciane sito, a jeżeli na długi czas zostanie, tem  
perły potłuczone nazbierasz i kamyki różnego ko-  
loru”.

Wiele jeszcze następuje opisów i przepisów,  
a wiele się kończy słowami: trzeba mówić zakli-  
nanie i Ewangelię Ś-go Jana.

„Opisanie Żabiego Jeziora z nauką i przestro-  
gą. Masz wiedzieć, iż tego Żabiego Jeziora wie-  
le ludzi szuka... Gdy już ku tej dziurze przyjdiesz,  
zaraz będzie na cię Podskarbi kamieniami ciskać,  
Przestrzeż tedy swoich socyuszów, aby żadnych  
złych myśli nie mieli...”

Masz zaś wiedzieć, dlaczego my to Żabiem Je-  
ziorkiem przewali: a to dlatego, że w niem są  
żabki—jako i inne małe, zwyczajne—białe; a te są  
wielkim znakiem od Pana Boga. Druga racya jest,  
że matka bogactw złota i kamieni drogich (rękopis  
urwany...)

Dalej masz wiedzieć, gdy tego złotego wycho-  
du szukasz, nie masz mieć myśli i intencji pano-  
wania albo się wynoszenia w pychę, boć na taki  
sposób tego Pan Bóg nie da... Znowu masz wie-  
dzieć, że nie każdemu da się wziąć; bo jak pano-  
wie ziemscy nad swojemi skarbami strażę mają,  
tak też i Pan Bóg ma nad swojemi skarbami Du-  
chy, pigmei zwane. Ci Duchowie żadnego tam bez  
woli Bożej nie puszczą, dlatego umiarkuj się,  
abyś był czystego sumienia, a przychodząc na to

mejsce, Pater et Ave mówił i S-go Jana Ewangelję: in principium erat Verbum—potem sequentem orationem (następną modlitwą):

## ORATIO

A ty Święty Aniele Boży, Patronie mój, któryś strzegł Pana Naszego Jezusa Chrystusa, położonego w grobie świętym, strzeż i broń mię dziś, tego dnia, także współtowarzyszów moich od człowieka i anioła złego, od nagłej śmierci, od wszystkich strzał, od wszelkiego nieszczęścia i szkody; przez Tego, który mnie i ciebie i wszystko stworzył. In Nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti. Amen.

Nb. Tę modlitwę, wychodząc z gospody, w każdy dzień z rana mówić.

. . . . . , . . . . .

## Odemknienie jamy.

Ja N. zaklinam i przymuszam cię przez niezwy-  
cięzonego i zawsze zostającego Boga † żeby wszy-  
scy Duchowie i pochwary widome lub niewidome  
od tego skarbu i daru Boskiego mnie ustąpiły †  
żeby żaden mnie z nich nie zatrzymywał ani prze-  
szkadzał w Imię Trójcy Przenajświętszej, Boga †  
Ojca, Boga † Syna, Boga † Ducha Świętego. Amen.

## Zamknienie jamy.

Zaprawiam cię ja N. i ukrywam skarbie w praw-

dziwem Bóstwie, tak, jak się zakrył w prawdziwym chlebie Chrystus, gdy go swoim kochanym uczniom dawał na pokarm w dzień świętej obecności swojej, gdy piekło przełamał; tak te jamy zaprawione i opatrzone być mają, jako kielich i wino, gdy się Bóg przemienił w nim, tak cię zawieram, zaklinam i zamykam przez Boga † Ojca, Boga † Syna, Boga † Ducha Świętego, zawiążuję cię związkiem, którym Chrystus piekło przełamał i zwyciężył.

### Zaklinanie.

Ja N. zaklinam was, Duchowie, którzy moc macie pod niebem nad temi darami, niech będzie złoto, srebro, kruszec lub kamienie drogie, żebyście mi objawili na Imię Boga † Ojca, Boga † Syna, Boga † Ducha Świętego. Amen.

Mów Ewangelję Ś-go Jana.

. . . . .

Ale nie każde dni są szczęśliwe i dobre do szukania tych skarbów. Umyślałem położyć, któreby były przy pomocy Pana Boga najlepsze, ut inferius (jak niżej):

Dni wybrane, w których się skarby szukać i wykopywać dają:

Januarius (styczeń)	1, 2, 3, 4, 5, 14, 15.
Februarius (luty)	1, 2, 3.
Martius (marzec)	1, 2, 3.
Maius (maj)	1, 7, 12, 15.

September (wrzesień) 4, 15, 16, 22.

Quia hora et die (o której godzinie i w jakim dniu):

Ante meridiem (przed południem)	Post meridiem (po południu)
Poniedziałek 2, 5, 10, 11, 12.	5
Wtorek 7, 9, 10, 11.	2, 4, 9.
Środa 4, 6, 11.	1, 6, 8.
Czwartek 3, 8, 11.	4, 6.
Piątek 5, 7, 11.	3, 7, 8.
Sobota 3, 4, 9, 11.	4, 6.

Tak, w streszczeniu, przed 200-tu laty radził jakiś wykształcony poszukiwacz skarbów w Tatrach.

Z podobnemi przepisami nikt już w ostatnich czasach pieniędzy zakopanych ani skarbów szukać nie chodził; szukano ich, gdzie tradycja wskazywała. Do różnych miejsc przywiązane jest podanie ukrytych bogactw, różne są znaki i oznaki. Ślicznie oznaczyli zbójnicy miejsce zakopanych pieniędzy pod Nowym Targiem — tam, jak daleko o wschodzie słońca od kapliczki Ś-go Jana za mianem cień upadnie.

W co jeszcze wielu Górali święcie wierzy, to w owe pieniądze, przesuszające się na korytach. Wydobywają się one z ziemi i świecą, nęcąc oczy, ale najczęściej pilnuje ich czarny baran albo pan, czarno ubrany, niewątpliwie djabeł, bo ma widły. Ale i baran, choć wideł nie ma, tęgim jest stróżem, bo kto próbował się doń „nabliżyć”, zaraz życia

od rogów pozbył. Pieniądze te zresztą znikają pod ziemią, gdyby kto się ku nim podkradł, gdy są bez straży: „wjechały w ziem” — to się zawsze słyszy na końcu każdej opowieści.

Nietylko zresztą bogactwa pokryte są po Tatrach: w Kościeliskach była grotą zbójcka, gdzie miało być ubranie i uzbrojenie na dwunastu ludzi, towarzyszy Janosikowych, a strzelby miały być pozaczepiane cynglami za sznurki i tak poustawiane, że ktoby się tam chciał dostać, samby na siebie śmierć sprowadził.

Groty i pieczary po górach muszą rozbudzać fantazję ludu, fantazję dziecinną i logiczną, która we wszystkich objawach życia i świata szuka celu, bo ten jej się wydaje naturalnem następstwem faktu. W miejscach więc mogących kryć — szukano, coby kryły, i wierzono, że kryć muszą. Tymczasem zamiast skarbów zaklętych wydobywano z nich często inne skarby, a mianowicie kości zwierząt przedpotopowych, niedźwiedzia jaskiniowego i innych oraz pradawne, prastare ślady ludzkiego przemysłu i artyzmu. W muzeum Orawskiego Zamku są wykopane koło Kubina na Orawskim Podtatrzu: odwieczne, epoki kamiennej i brązowej sięgające narzędzia i ozdoby, miecze, strzały, naramienniki, formy na broń i słynna korona brązowa, za którą muzeum paryskie ofiarowywało dwieście tysięcy franków.

Do wiary w podziemne skarby pobudzało w Ta-

trach i to, że kopano w nich istotnie niegdyś najdroższe kruszce, złoto i srebro.

W XV stuleciu, za panowania Kazimierza Jagiellończyka, rozpoczęto na Podgórzu Karpackiem poszukiwania kruszców, zaś król Aleksander zbudował drogę od Nowego Targu ku Tatrom, w których za jego panowania w 1562 r. poczęto kopać srebro. Najdawniejsza ta droga, w olbrzymich wiedziona lasach, nie była tą samą, którą przez wiele lat, nim powstała kolej, jeżdżono do Zakopanego, lecz szła ku zachodowi, przez Ludzimierz, Rogoźnik na Orawę do Jabłonki. Wsi, przez które jedzie się do Zakopanego: Białego Dunajca, Poronina, nie było wtedy jeszcze wcale, jak i samego Zakopanego zresztą.

Za Zygmunta Starego był w Kościeliskach „srebrny młyn”, a w kamień młyński, służący do mielenia rudy srebrnej i miedzianej, stoi dziś wprawiony w Dolinie Kościeliskiej krzyż z napisem: — „I nic nad Boga”. Postawił go pierwotnie Wincenty Pol w 1852 r. — później go odnawiano.

Jest kilka podań, przywiązanych do owego kamienia i mogły nieopodal, przyrzućanej chróstem od wieków: najprawdopodobniejszym jest, że tu leżał pochowany zabity przez opryszków górnik, młynarz od tego srebrnego młyna. Górale utworzyli dwie wersje: o młynarzu, co się sta wi ł (założył), że kamień młyński przewiezie, i kamień go przywalił, i inna wersja o chłopie, co się sta wi ł, że go

zniesie w dolinę. „Zabiło go z brzyzkn (brzegu), przywaliło i on tys ta siedzi do dziśka (dzisiaj)”.

Królowie polscy, zwłaszcza Zygmunt Stary, mnóstwo wydali odnośnych dokumentów i przywilejów na kopanie kruszczów w Tatrach. Kopano tam kruszec księżycy czyli srebro; kruszec Wenery czyli miedź i kruszec słońca czyli złoto. Złoto kopano głównie w Krzywaniu, i do dziś są tam ślady kopalni, podobnie jak w Kościeliskach i nad nimi w Ornaku i indziej. Zaniechane kopalnie w Tatrach ożyły za Stanisława Augusta w roku 1765 i znów je wkrótce porzucono; między innymi powodami była i zbyt mała wydajność rudy srebrnej i miedzianej, nie mówiąc już o złocie.

Ostatnią kopalnią była kopalnia żelaza. Wydobywano je głównie w Magórze nad Zakopanem i wożono do ówczesnych kuźnic w Kościeliskach „żelazną drogą”, zachowaną do dziś i zwaną dziś „drogą pod regłami”. Zczasem przeniesiono kuźnice do Zakopanego, tam, gdzie obecnie pozostały po nich ruiny i nazwa. Przed laty dwudziestu kilku kuźnice pracowały jeszcze, ale przetapiając rudę, skąd inąd dowożoną: tatrzańskie szychty i sztolnie porzucono od lat kilkudziesięciu.

Doktór Stanisław Eljasz Radziszewski opracował szczegółowo historję kopalni mineralnych w Tatrach, a także podał do druku z biblioteki Pawlikowskich, we Lwowie, niezmiernie w swoim rodzaju interesujący rękopis: „Michała Chrościń

skiego opisanie ciekawe gór Tatrów". Rękopis pochodzi z XVII wieku i jest najdawniejszym opisem Tatr, a treścią jego główną są istniejące w nich bogactwa. „Opisanie ciekawe gór Tatrów za Nowym Targiem, na cały świat słynących, wszelkimi klejnotami i bogactwy ozdobionych i niezliczonymi minerałami napelnionych, które są wynalezione od niektórych głęboko uczonych szkół matematycznych filozofów, osobliwie od uczonego Michała Chrościńskiego" — temi słowy zaczyna się rękopis.

Nabożeństwem przejęty jest równie, jak poprzednio cytowany. Oprócz świecy gromnicznej, palmy, dzwonka loretańskiego, wody święconej, mirry, ziółek do kadzenia, tudzież kompasu — ma mieć wybierający się na poszukiwanie skarbów „szpagat, nasmarowany węzowem sadłem, zmieszanem ze szczupakową żółcią, bo od tych dwóch tłustości duchowie uciekają".

Następują potem wskazówki drogi, którą trzeba ku skarbowi postępować, i mnóstwo przepisów i objaśnień. Naprzykład, na pewnej łące (w okolicy Lodowego Szczytu) znajdziesz korzeń dypłanu, który jest jeszcze przedniejszy, jako w Arabii może się znajdować.

Tego korzenia nie może żaden z tego miejsca wziąć, tylko takim sposobem. Najprzód, żebyś go żadnym żelazem czyli żelaznem naczyniem nie kopał, tylko łaską z drzewa jasieniowego, aby była goła ta laska. Teraz okrom tego korzenia takiej



mocy nabędzie, iż wszelkie gadziny jadowite, po ziemi się czołgające, od niej uciekają. Dotknąć jakiej gadziny, w momencie zdycha. Ten korzeń ma moc najprzedniejszych magnismów. Strzały, kule i inne instrumenta, w ciałach, w członkach utkwione, zaraz w momencie bez wszelkiej boleści wyciąga i doskonale goi. Nb. Zamknięte zamki bez klucza otwiera, okowy, pęta rozbija.

*Adjuvo t caeda huic pacem lutioni.*

Daję ci przestrożę i informacją o tym korzeniu, jako sobie masz z nim postępować; jeżeli chcesz jego moc zachować i sam siebie, uczyni tak: musisz mieć dla schowania i mocy jego utrzymania ołowianą lub cynową szkatułkę. Tak, żeby się dobrze zamykała, tak, aby mocności odór z niego nie wychodził, bo w innym naczyniu jego nie zachowasz. Także się masz wystrzegać jego zapachu i wonności, bo od niego człowiek wszystkie siły traci, i miesiąc tylko masz mieć do używania wewnętrznego *Balsam Sulphuris* i białe ziele, czosnek zwany, liście ma na sobie nakształt złotego. Odwunastu wierzchach kwiatu, niż wyda, aż we dwanaście lat nasienie miewa, jako gwoździki krwawe, kramne, wielkiego zapachu. Olejek, z niego zrobiony, napuściwszy nim bawełnę, przyłożyć na zęby, w momencie wypadną bez żadnego czucia. Do wynalezienia tego dyptanu masz mieć sztukę jeleniego rogu, na sznurku wiszącego, przyciągnie go do siebie jak magnes, albo żeby swojej mocy nie

stracił ten korzeń, masz mieć przy nim tarty róg jeleni.

Znajduje się na tej łące Nardusowy korzeń, z którego była maść zrobiona Panu Jezusowi. Ten Nardus ma przedziwne skutki, z którego najprzedniejsze robią balsamy, znaczniejsze nad Tauskie balsamy złotem nieprzepłacone, który we dwadzieścia cztery godzin najstraszniejsze goi rany, płuca zgniłe, wątrobę do zupełnego zdrowia przyprowadza i leczy. Liście ma na sobie jako *Nardus Rustica*, to jest kopytnik. Rośnie kupami na jednym korzeniu, będzie miał listków trzydziści i więcej.

Indziej pisze Chrościński: Jak wnijdziesz (z jakiej jamy), uczyni trzy krzyże przed sobą, włoży na ogień miry, kadzidła i ziółek święconych, a idź aż na piętnaście kroków, będzie jedno bardzo ciasne miejsce, ale wnet wnijdziesz do przestronnego miejsca jako do wielkiej izby, tu będziesz wielkim strachem zdjęty, że się ani sam ani tam nie będziesz mógł ruszyć, albowiem zobaczysz tam przedziwne i precudowne dzieła Boskie, które żaden język ani zmysł ludzki tego wyrazić nie może, jakie tam Bóg Wszechmogący dzieła swoje dla swoich wiernych stworzyć raczył, ale się nie bój ani lękaj, tylko się ostrożnie sprawuj. Obaczysz tam monstra jak osoby ludzkie, ze samych szczerých drogich kamieni wyrosłe i formowane, w samym środku obaczysz jakby najwyższą osobę od nich pochodzącą, która ma niby koronę na głowie wyrośniona

ze samych karbunkulów świecących, która wszystkim tym personom swoją jasnością świeci. Tu znajdziesz wszystkiego gatunku, rodzaju na świecie zwierząt, ptastwa i wszelkiej gadziny ziemskiej widowisko ze samego szczerego złota formowane, przypatrz się pilno w ten kącik, gdzie jest słup, na trzy granie wyrośniony, ale się nic nie lękaj, obaczysz sam tam na łańcuchu złotym uwiązanego starca, a to jest stróż tego miejsca strzegącego. Tu sobie tak postąp, to cię przestrzegam, abyś nie łamał złotych wyrośnionych person, ani od drogich kamieni ścian nie kował, tylko to, co będziesz widział przed sobą na ziemi już gotowe, dla ciebie nagotowane, to wziąć. Kiedy wyjdiesz, podziękuj Panu Bogu i nie oglądaj się nazad.

W manuskrypcie Michała Chrościńskiego jest także opis osobliwego ziele, „Lunaria” zwanego, po polsku „Świątliczka, enfrazya albo mastyczka”. To ziele rośnie po łąkach, przy wodach, korzeń ma biały albo żółty jako marchew. Ma laseczkę, a czasem dwie wysokie na łokieć jeden albo mniej, jako owies; liście ma okrągłe jako szelągi, koloru niebieskiego albo zielonego z ognistym kolorem, kwiat ma jako fijałka, pachnie jako balsam. Nasienie jego w łupinach rośnie jako wyka w strączkach. Daje się kopać dnia 30-go września, kwitnie na nowiu tegoż miesiąca. Świeci jako świeca w nocy i usycha, kiedy miesiąca przybywa. W dzień się daje widzieć, ziarnka ma jak kwadra miesiąca. Kiedy to ziele zerznesz, pilnie go patrz, aby ci go

duchowowie nie wzięli albo nie odmienili. Czarnoksiężnicy, jako pryncypałowic, zawsze to ziele do swoich prac i obrządków jest im potrzebne, i onegoż zażywają. Po tem go łatwo poznasz, gdy na wodę wrzucisz, zerwawszy, to płynie przeciwko wody, nie za wodą nadół, a kiedy go wrzucisz w ogień, trzaśnie jak piorun, odmienia miedź w złoto, ale tego nie każdemu powiadaj, aby się nie zgorszył.

Kiedy kto to ziele nosi na gołym ciele, źli duchowie szkodzić mu nie mogą. Kto to ziele przy sobie ma, skarb znajdzie, choćby duchami obsadzony był, wszystkich duchów odpędza tym ziele. Choćby w więzieniu był, to łatwo wynijdzie, i choćby był związany łańcuchem, dybami, powrozami, albo okuty, wszystko spada z niego, jako to ziele będzie miał przy sobie. I wszystkie zamki tym ziele otwierać możesz. Zęby od niego bez bólu wypadają, wypadają zwykły, co się często trafia, i bydłom na pastwiskach, jak go ugryzie. Bać się nie może żadnego postrzału, bo to ziele broni. W kajdanach zamknionym otwiera się ziemia do wynięcia. Kwiat zaś z tego ziele, kto go do gęby włoży, przyjdą mu na myśl wszystkie skarby i wyjawiają mu się. Kiedy kto tym listkiem zakadzi ku zachodowi słońca, to jest przed wschodem słońca, przyjdą do niego dobre duchy i rozmawiać się z nim będą; o cokolwiek ich się pytać będzie, dowiesz się od nich. Kiedy ich się chcesz pozbyć, zakadź mieczykiem i Bolesławiem ziele: zaraz

ustapia. Z tego ziela wyciąga się miazga jako wosk i kładzie się do stokowej wody; daj ją wypić; wszyscy kochać cię będą.

Wszystkie drogowskazy do skarbów tatrzańskich mówią o „Żabim jeziorku”, jako o kluczu do nich, miejscu, gdzie ich szukać trzeba. Żabich stawów jest w Tatrach wiele, żaden jednak nie jest owem zaczarowaniem czy czarodziejskim żabim jeziorkiem. Jak się doktor Eljasz Radzikowski domyśla, wyszło już ono (jak wiele jezior w Tatrach, jak jezioro za Mniczem nad Morskim Okiem i jezioro nad Popradzkim Stawem, które również miało być rybne, jak niedługo wyschnie Długi Stawek pod Gerlachem i stawki w Staroleśnej Dolinie oraz w wielu innych miejscach). Było ono gdzieś w stronie Lodowego i Jaworowych Sadów, „nie większe jako wóz siana”, „podobne siewnemu wozowi”, i tem zdumiewało ludzi, że jak każde schnące jeziorko, w czas suszy nikło i jeden je widział, a drugi nie, to znaczy, że jeden widzieć je „był godny”, a drugi „nie był godny”.

Oprócz Żabiego jeziorka Morskie Oko było także tajemniczem miejscem skarbów. I tak opowiadał stary, nieżyjący już człowiek: „Jest hań kasi w kosodrzewinie, popod Hrubym Wirhe (Mięguszowiecki szczyt nazywano dawniej Hrubym Wierchem, oprócz Hrubego Wierchu pod Krzywaniem i w Chochołowskiej) jama. Do tej jamy trza mieć kiela świecek, boby je trza często gęsto ostawiać, temu, że sie chodnik w nuku skały kręci jak wąż. W samem

zadku (na końcu) jest hań sala wielga jak kościół, a na pośrodku klęcom trzójmi (trzej) mniki (mnichy). Dopieroż sie kazdemu ś nik trza barz pięknie pokłonić, a dopiéroz pote mozes skarby, com hań som jest, brać, jele nie więcyl, ino telo, kielo na roz ciupagom urąbie. Jakbyś więcyl fciał wziąć, to cie w te razy w te razicki złe zabije. Hań niepeć inacyj cosi konać (zrobić), ino tak, jako przepis stoi. Hań ani sięła, ani odwoga nic nie płaci (nie znaczy); nie wyonacy hań człowiek nijako, ka Pon Bóg władze i przikazuje".

Każda okolica zresztą ma swoje skarby zakłete. Dla Jurgowianów i Białczanów są one w Holicy, w Zamkach, w Szerokiej Jaworzyńskiej, w Żabiem i Młynarzu, dla Podspodziań, Zarzan pód Hawraniem, pod Jatkami, w Jaworowej Dolinie, dla Zakopian pod Gewontem (grota ze słupem diamentowym, skarbów również mnich pilnuje), dla Kościeliszczan pod Pisaną, w Katerusie (dzisiejszy Ratusz we wawozie Krakowskim), na Pysznej (tam zresztą i zbójceckich pieniędzy mają być trzy worki), dla mieszkańców Orawic pod Rohaczami, pod Osobitą i tak dalej, i tak dalej. Zeszedłszy zaś od Tatr w Beskid, w Gorce i Kluczki w Nowotarszczyźnie, albo w Niżnie Tatry nad Wagiem i Popradem, zobaczymy to samo. Żabie Jezioro i Morskie Oko są tylko najgłówniejszymi punktami poszukiwań.

W naturalnych grotach tatrzańskich nie znaleziono prawie wcale śladów stosunkowo niedawnej bytności ludzkiej. Znalezione w Magórze kości

przedpotopowych zwierząt, w grocie Kasprowej nie znaleziono nic, w grotach, których jest wiele w Kościeliskach, także, o ile mi wiadomo, nic nie było godnego uwagi. Jedynie w grocie pod Pisaną Goszczyński, który pierwszy jeśli tam nie wchodził, to przynajmniej ją opisał, natrafił na ślady ludzkiej bytności. Za jego czasów, przed laty siedmdziesięciu kilku, różne dziwy opowiadano o tej czeluści skalnej. Jedni opowiadali, że zwiedzano ją z pochodniami i dotarto do olbrzymiej sali z kolumnami i ozdobami, świecącemi jak diamenty; na środku sali miało być jezioro, źródło Dunajca. Inni twierdzili, że trzy dni i trzy noce można iść tem podziemiem, aż się wyjdzie na szczyt jakiejś góry. Inni jeszcze twierdzą, że siedzi tam duch, który zgniewany, zrzuca na dolinę ulewę i burze.

Goszczyński wchodził tam dwa razy; oto jak opisuje pierwsze wrażenie:

„W zakręcie podziemia straciłem z oczu jego otwór, grube ciemności otoczyły mnie dokoła; bałwany wody za każdym razem silniej uderzały i huczały głośniej; stanąłem na chwilę; huk podziemny, daleki, mocniejszy od szumu tłukącej mię po nogach fali; mieszanina tysięcy najsprzecznieszych tonów, muzyka dzika, przeraźliwa, jakiej nigdy w życiu mojem nie słyszałem, niby echo oddalonego piekła, ogłuszyły mię naprawdę. Mimowolnie uległem groźnemu wrażeniu, zdawało mi się w tej chwili, że otwierają się tajniki ciemnego duchowego świata, że postacie jego nieżywe zaczęły przesuwać

się przed okiem, jak poczęły już przelatywać po myślach; spodziewałem się, że trup jakiś przepłynie koło mnie na falach, że jakiś potwór, nieznamy dotąd światu, objawi mi się przy konającym blasku mojej świeczki; uwierzyłem na chwilę w nietykalność miejsc podobnych i tajemnic podań ludowych..."

Goszczyński znalazł w tej wodnej grocie podziemnej tram, obrobiony ręką ludzką, i szkło potłuczone w wyłobieniu skały. Jeden z późniejszych badaczy skonstatował podstemplowanie sklepienia palami z drzewa i na sklepieniu dojrzał wyróżnionego w głazie Górala z ciupagą, podniesioną jak do uderzenia. Jeżeli rozbójnicy tam się kryli, to lepszej kryjówki znaleźć nie mogli.

Dla ludzi, którzy dziś poznają i zwiedzają Tatry, których nie łączy z nimi dłuższa tradycja, którzy widzą je tylko takimi, jakimi dziś są, częścią terenem turystów sportowców, częścią nawet niemieckim zwierzyńcem — ten urok ich czegoś tajemniczego, pozaludzkiego, oderwanego od świata nie jest do odtworzenia, a może i nie do pojęcia. Nigdy też już nie wróci im dawny czar i wskrzeszać go może tylko oderwana od świata i taka właśnie najpiękniejsza, najczystsza i najprawdziwsza poezja.

Dwa jeszcze osobliwsze opowiadania, którem świeżo słyszał od Starego Szymka Krzysia, chcę przytoczyć. Pierwsze o cudownej trawie, która zamki otwiera. (Należy przeciąć rękę lub kolano,



włożyć w przecięcie trawkę, aby zarosła, a potem wszelkie drzwi się otworzą.) Wspominanego już Kubę Kołodzieja landsdragon przyprowadził do Sącza, ponieważ się do wojska nie chciał dać zwerbować \*). Tam zamknięto go w areszcie wraz z jakimś wędrownym. W nocy pyta się go wędrowni: Kces uciec?

— E, jakoz, kie my zaparci (zamknięci)?

— To nic. Kces?

— Je i coź mi s tego, kie mię znowu zaprejom (zamkną).

— No to bydź zdrowy.

Wstał, malučko tyrknon kolane w dźwirze, dźwirze się otwarły i wysł do pola. W kolanie zarznionom trawę miał.

Tej trawy (oprócz tego wypadku, że można ją kosą natrafić, przyczem kosa „sfyrknie” z kośiska, a trawa, rzucona na wodę, oddziela się i płynie pod prąd), można tak dostać: gdzie dzięciół ma młode lub jajka w gnieździe w dziupli, trzeba otwór zatkać kolkiem; wtedy on przyniesie w dzióbku trawę i otworzy gniazdo. Potem będzie szukał watry (ogniska), aby ją w nie rzucić. Trzeba go śledzić i w chwili, kiedy puści trawkę „z dzióby” złapać ją, nim do ognia doleci.

A drugie opowiadanie jest takie: w pewnej wsi koło Nowego Targu, gdzie już był podówczas kościół, zbójnicy podczas rabunku zamordowali czio-

---

\*) Lat temu ze sześćdziesiąt.

wieka. Stało się to w nocy, a rano zabiegli oni w ucieczce pod Goryczkową, aby się na Węgry przedostać. Ludzie jednak we wsi obaczyli mord i poczęli we dzwony kościelne bić, a liny posmarowali krwią zamordowanego. „I co powiecie, panie? Kiele dale (jak daleko) doleciał zwon, zbójnicy niémogli przekroczyć. Tak jak kieby ig obręcom ujeno. Niémogli nijakim światem hore (wgórej) na Goryckowom Przełęcz iść, ta krew wej zabitego nie dała. I tam ig ludzie došli i pohytali, bo sie ino zwyrtali po lesie jak zacarowani, a uciekać, nie-daj Boze, nie zdołał zaćen. Takom moc miały te zwony.”

KONIEC

## SPIS RZECZY

Przedmowa. . . . .	str. 5
Bajeczny świat Tatr . . . . .	„ 38
Janosik . . . . .	„ 58
Zbójnicy . . . . .	„ 64
Pieśni zbójeckie . . . . .	„ 102
Pojęcia religijne dawnych Górali . . . . .	„ 125
Skarby w Tatrach . . . . .	„ 132

---

# POSIADAMY NA SKŁADZIE

następujące tomy

## LUKSUSOWO OPRAWNE

zawiera ące:

- Komplet 1 (1 tom) **Karol Dickens** — Opowieść Wigilijna,  
Dwa miasta
- „ 2 **Adolf Dygasiński** — Pan Jędrzej Piszczalski,  
Dramaty Lubądzkie
- „ 3 „ „ — Na złamanie karku,  
Von Molken
- „ 4 **Bruno Winawer** — Ślepa Latarka, D-r Przybram,  
Lepsze czasy
- „ 5 **Kazimierz Tetmajer** — Księżniczka Metella,  
Gra Fal
- „ 6 „ „ — Legenda Tatr
- „ 7 „ „ — Romans p Opolskiej,  
Otchłań
- „ 8 **Lew Tołstoj** — Zmartwychwstanie
- „ 9 **Sinclair Lewis** — Babbitt
- „ 10 **W. Baranowski** — Romans sekretarza posel-  
stwa i **W. Grubińskiego** Nowele
- „ 11 **Maurycy Jokay** — Inne czasy, inni ludzie
- „ 12 „ „ — Poruszymy z posad ziemię  
3 t. (I—II—III)
- „ 13 „ „ — Poruszymy z posad ziemię  
t IV i V. — Atlantyda
- „ 14 **Jack London** — Syn słońca, Serce kobiety
- 15 „ „ — Zew krwi, Przygody w zatoce  
S-Francisko, Bóg ojców jego
- „ 16 **Aleksander Dumas** ojciec — Trzej muszkie-  
terowie

- Komplet 17 W. Jagliński** { — W legji cudzoziemskiej  
 „ „ **B. Adamowicz** { — Triumf żółtych  
 „ „ **K Junosza** { — Na bruku  
 „ 18 **Wiktor Hugo** — Nędznicy 3 tomy (I—II—III)  
 „ 19 „ „ — Nędznicy 3 tomy (IV—V—VI)  
 „ 20 „ „ — Nędznicy t. VII i VIII oraz  
 „ „ „ **E. Zola:** Marzenie  
 — „ 21 **Józef I. Kraszewski** — Chata za wsią oraz  
 „ „ **P. Chojnowski:** Kij w mrowisku  
 „ 22 **N. Szczedryn** — Judaszek oraz **A. Puszkina:**  
 „ „ Czarny Orzeł i Dama Płkowa  
 „ 23 **A. Bennett** — Anna z pięciu miast, Rozrywki  
 „ „ Miljonera  
 „ 24 **H. G. Wells** — Niewidzialny, Wehikuł czasu,  
 „ „ Kraina Ślepców  
 „ 25 **H. Rosny** — Walka o ogień, Ląd w nieskończoność

Każdy tom oprawny w płótno, ze złotymi artystycznymi ozdobami na okładce i grzbiecie książki, zawiera 480—600 stron druku.

Cena księgarska—Zł. 450, dla prenumeratorów—Zł. 335.

(Koszty przesyłki od tomu gr. 50).

Opłacać można przez **P. K. O. № 11140**, markami pocztowymi, przekazami lub za zaliczeniem przy zadatkowaniu <sup>1/2</sup>, należności markami pocztowymi.

---

**List zwrotny**  
**DO BIBLIOTEKI GROSZOWEJ**

**w Warszawie**

**Moniuszki II m. I.**

Upraszam o nadsyłanie wydawnictwa tygodniowego

**Biblioteka Groszowa.**

prosimy wyśłać

Należność, z przesyłką pocztową:

Za kwartał (13 tomów, łącznie  
z dwutygodnikiem Magazynem  
i in. dodatkami) **zł. 9 gr. 95**

„ kwartał w oprowie **zł. 13 gr. 95**  
jednocześnie przesyłam przekazem  
(P. K. O. **11.140**)

proszę pobrać za zaliczeniem pocztowem, z doliczeniem kosztów zaliczenia

Wiersz nie-  
potrzebny  
przekreślić

Imię i nazwisko .....

Adres .....

Zamówienie

*Do*

*Biblioteki Groszowej*

w WARSZAWIE

*ul. Moniuszki 11/1.*

Cena sprzedaży

„R U C H”

1.25

---

Polskie Towarzystwo  
Księgarni Kolejowych  
„R U C H”  
Spółka Akcyjna



